

Starnawski, Jerzy

Autobiografia naukowa

Analecta 12/1-2(23-24), 265-302

2003

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



AUTOBIOGRAFIA NAUKOWA

Urodziłem się 27 lutego 1922 r. w Guzówce w powiecie krasnostawskim. Ojciec mój, Tadeusz (19 marca 1881–4 marca 1942), dzierżawił do 1931 r. majątek w Ordynacji Zamojskiej. Matka, Maria z Kuczyńskich (15 grudnia 1897–15 lipca 1990), była już w latach guzowieckich, a potem lubelskich, działaczką katolicką. Byłem jednym z trzech braci. Najstarszy, Zbigniew (13 sierpnia 1920–19 grudnia 1993), był księdzem, prałatem kapituły kolegiackiej zamojskiej, przed odłączeniem się Zamościa od diecezji lubelskiej; po zmianie granic diecezji – kanonikiem honorowym kapituły katedralnej lubelskiej. Najmłodszy mój braciszek, Zdzisław (14 września 1925–31 października 1930), zmarł po operacji ślepej kiszki. Śmierć najmłodszego dziecka w sposób zupełnie wyjątkowy złamała życie Ojca i przyczyniła się do wielu dalszych nieszczęść. Ojciec mój, utraciwszy majątek, i nie poradziwszy sobie jako przedsiębiorca żyjący w mieście, zachował do końca życia uczciwość i troskę o to, by nikomu nie pozostać winnym.

*Vom Vater hab' ich die Statur
Des Lebens ernstes Führen;
Vom Mütterchen die Frohnatur
Und Lust zu fabulieren*

– napisał Goethe, wyrażając myśl, że nie odziedziczył po rodzicach majątku, lecz zasady życiowe i talenty. Bo też rodzice nie są obowiązani zostawić dzieciom w spadku bogactw, lecz przekazać zasady życiowe i zatroszczyć się o wykształcenie. Ojciec przekazał nam, memu Bratu i mnie, zasady życiowe. Matka, niezwykle pobożna, przekazywała nam wiedzę w zakresie religii rzymsko-katolickiej

i kultury polskiej we wszystkich jej przejawach. Pod kierunkiem Matki, mądrego Cicerone, poznawaliśmy od 1931 r. Lublin wraz z okolicami. Początek moich „studiów” polonistycznych był wcześniejszy jeszcze. Mieliśmy w roku 1928/1929 nauczyciela domowego, p. Adama Luterka, który był kończącym studentem polonistyki w KUL. W Guzówce, co wprawiło w podziw mego Ojca, napisał pracę magisterską i w czerwcu 1929 r. złożył w Lublinie egzamin dyplomowy. Korzystał z biblioteki moich Rodziców, niektóre książki sprowadził sobie z lubelskich bibliotek. On poza lekcjami odbywanymi w godzinach rannych zaprowadził wieczorne pogadanki o literaturze polskiej wygłaszane dla chłopców: ośmioletniego i sześć- i półletniego. Z tych pogadarek zapamiętałem, że Rej pociął kitajkę na kawałki i poprzywiązywał wronom do ogonów, że Kochanowski stracił córeczkę Urszulkę i po jej śmierci napisał *Treny*, że Skarga przepowiedział upadek Polski, że w czasach króla Stasia księciem poetów był Krasicki, że najwięksi nasi poeci to byli: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński...

Jesienią 1929 r., gdy nie było już p. Luterka, Matka zabrała mego Brata i mnie do Turobina, tym razem nie do kościoła jak to się działo w każdą niedzielę, lecz na akademię ku czci Szymona Simonidesa. Pamiętam, że odbywała się w lokalu miejscowego sądu, że prelekcję miał miejscowy aptekarz, p. Maurin. Po latach wypadło mi kolegować z jego młodszą siostrą: razem uczyliśmy w Legionowie k/Warszawy (1949/1950) w liceum, w którym p. Zofia Maurin była nestorką grona nauczycielskiego. Z akademii w Turobinie zapamiętałem deklamację *Żeńców*. Słuchając, zastanawiałem się nad tym, czy starosta to taki jak w Krasnymstawie. Zapamiętałem, że poeta mieszkał w Czernięcinie odległym o 13 km od Guzówki, położonym podobnie jak Guzówka, nad Purem. Gdy po latach poznałem, już jako licealista, sielankę *Wierzby*, przypomniały mi się wierzby nad Purem, które dotrwały do mego dzieciństwa; przetrzebione zostały dopiero po drugiej wojnie światowej, gdy ujarzmiono rozlewiska Puru.

W pierwszym roku mego pobytu wraz z rodziną w Lublinie (1931/1932), jeszcze przed wstąpieniem do gimnazjum, Matka zabrała nas na dwa odczyty prof. Leona Białkowskiego o dawnym Lublinie; był ten uczony, co zrozumiałem na studiach, fenomenalnym znawcą Lublina. Odczyty wysłuchane w wieku dziecięciu lat były w moim życiu pierwszymi wykładami profesora uniwersytetu, z jakimi się zetknąłem. Pierwszymi, ale nie jedynymi w wieku młodzieżowym. Nieco później, już jako uczeń, korzystałem z przyjazdu do Lublina takich powag jak Oskar Halecki (mówił o Jadwidze) i Tadeusz Zieliński (mówił o wiecznym pięknie kultury greckiej), którym Katolicki Uniwersytet Lubelski użyczał gościnnie sali. A przyjeżdżali do Lublina pisarze: Zofia Kossak-Szczucka, Gustaw Morcinek, Jan Wiktor. Słuchałem ich prelekcji także.

Moja „odyseja” szkolna przebiegła w latach 1932–1939. W czerwcu 1932 r. zdałem egzamin do II klasy ośmioletniego gimnazjum przedjędrzejewiczowskiego.

Byłem w pierwszym roczniku, który objęła reforma szkolna, a więc w r. 1933/1934 stałem się uczniem I klasy czteroletniego gimnazjum. Po czterech latach gimnazjalnych przyszło dwuletnie liceum (1937–1939). Marzyłem o klasycznym, by uczyć się greki, ale takiego nie stworzono w tym roku w Lublinie. Skończyłem liceum humanistyczne, które niestety miało godzin poświęconych przedmiotom matematyczno-przyrodniczym więcej niż było ich w ośmioletnim gimnazjum przedjędrzejewiczowskim typu humanistycznego, było właściwie przedłużeniem czteroletniego gimnazjum ogólnokształcącego.

Edukację moją szkolną oceniam z perspektywy już wielu dziesiątków lat z uczuciami mieszanymi. Niewątpliwie lepsze było moje przygotowanie od tych, którzy nie wynosili nic z domu poza dobrymi zasadami i którzy wszystko zawdzięczali własnej pracy, w wyższych klasach gimnazjalnym uzyskując utrzymanie „za korepy”, mówiąc językiem Stefana Żeromskiego. Ale nie zostały spełnione moje marzenia w zakresie nauki języków starożytnych i nowożytnych. W dodatku szkoła, którą kończyłem, dawna Szkoła Lubelska, później Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego w Lublinie, nie była tak dobrze postawiona jak dwa gimnazja-licea państwowe męskie w Lublinie (im. Stanisława Staszica i im. Jana Zamoyskiego), jak wśród szkół żeńskich poza jedynym państwowym Gimnazjum im. Unii Lubelskiej także Gimnazjum-Liceum SS Urszulanek.

Na czele szkoły stał wprawdzie profesor uniwersytetu, Zygmunt Kukulski, o którego działalności poza szkołą co nieco wiedzieliśmy. Był prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie; gdy za tę działalność zyskał Złoty Wawrzyn PAL, cała szkoła uroczyście mu gratulowała. Towarzystwo Przyjaciół Nauk dokonało w moich latach szkolnych wielu rzeczy na odcinku wydawniczym, co było powszechnie wiadome.

Kukulski zasłużył się jako pierwszorzędnym administrator społecznym pieniędzy. Miał nieprawdopodobne pomysły wyciągnięcia darowizn od ludzi możnych dla celów Towarzystwa Przyjaciół Nauk i dla szkoły, w której dyrektorował, której trzydziestolecie upamiętnił wydaniem księgi i wystawieniem w gmachu szkolnym pomnika Stefana Batorego, którą wyprowadził z długów i wyposażył w doskonale obmyślane wnętrza. Sale były przedmiotowe, co zmuszało uczniów do przechodzenia z klasy do klasy w czasie pauzy, ale efekty w czasie lekcji były znaczne. Dyrektor nie żałował pieniędzy na inwestycje, umiał pieniądze zdobyć. Niestety troska o wyprowadzenie szkoły z długów i o inwestycje odsunęła na drugi plan dbałość o należyty poziom nauczania. Z tym było trochę gorzej.

Przysłowie mówi, że w każdej szkole jest jeden przedmiot, który nie stoi, ale leży. W szkole, którą wypadło mi kończyć, było niestety tych przedmiotów więcej. W rękę jednej osoby była geografia i biologia, i oba przedmioty leżały. Historia została rozszczepiona w liceum na dwa przedmioty (osobno: zagadnienia życia współczesnego). Oba wymienione przedmioty w rękę jednej osoby leżały

z kretesem. Po latach jeden z mych kolegów klasowych wypowiedział się: „Za co ten człowiek brał pieniądze?”. Matematyki uczył nauczyciel pracujący prawdziwie w przeciwieństwie do dwu wymienionych, ale wykladał tak fatalnie, że nauczyć nie mógł. Na szczęście nie wszystko stało tak słabo.

Dyrektor, o którym już było, uczył w maturalnej klasie propedeutyki filozofii. Nie był interesującym wykładowcą, ale w tym, czego uczył, był kompetentny i rzeczowy¹. Będąc profesorem uniwersytetu, wprowadzał w miniaturze metody naukowego postępowania, co było ideą w pewnej mierze rozwijaną w programie dwuletniego liceum tzw. „jędrzejewiczowskiego”, chociaż naprawdę już nie był to program opracowany przez braci Jędrzejewiczów. Ministrem był już Wojciech Świątosławski, a program opracowywał Bogdan Suchodolski. System miał być zagadnieniowo-referatowy. U Kukulskiego pisaliśmy dwa referaty w ciągu roku: pierwszym tematem był jeden z utworów Platona (wyjątkowo dzieło innego filozofa) – referowałem *Eutyfrona*, drugim – jeden z tomików świeżo wydanej Licealnej Biblioteki Filozoficznej – referowałem Władysława Witwickiego *Co to jest dyskusja i jak ją trzeba prowadzić?*

Świetlaną postacią w naszej szkole był prefekt, ksiądz prałat Florian Krasuski. Studia odbył we Fryburgu szwajcarskim w zakresie muzykologii i filologii słowiańskiej. Promieniował dobrocią, z czego był znany całemu Lublinowi. Na lekcjach religii w drugiej części, po przepytaniu zadanych „paragrafów” i po zadaniu nowych, urozmaicał nam lekcje lekturą odpowiednio dobraną. Ulubionym poetą ks. Krasuskiego był Syrokomla. Gdy na lekcjach czytaliśmy jego poematy, myślałem sobie, że do naszego prefekta zacnego odnoszą się słowa: „Czemuż częściej kapłani nie bywają tacy”².

Wychowawcą moim był przez cały czas nauczyciel języka niemieckiego, Karol Zabłocki. Był amatorem i świetnym organizatorem wycieczek szkolnych. W sześcioletnim cyklu poznaliśmy pod jego kierunkiem prawie całą Polskę. Kolejne wycieczki miały cele: Sandomierz; Warszawa–Płock–Włocławek–Toruń (z Warszawy do Włocławka podróż statkiem); Lwów; Gdynia (znów z Warszawy do Gdyni statkiem); Łódź–Poznań; Częstochowa–Katowice–Kraków–Zakopane. A więc zabrakło czasu jedynie na Wilno. Germanista rozumiejący Niemcy współczesne (hitlerizm) potrafił sformułować znakomity temat maturalnego wypracowania: *Sind die Ideen von Goethe und Schiller heute noch lebensfähig und welche?*³

W dwu klasach najwyższych, licealnych, uczył łaciny Marian Nagnajewicz, świeżo wypromowany magister po studiach w zakresie filologii klasycznej i językoznawstwa ogólnego w KUL, w przyszłości pracownik naukowy uczelni, która go wychowała; zakończył swą drogę naukową jako docent. Był jednym z tych, których wykształcenie, jak wspominałem na początku, było osiągnięciem wytrwałej, rzetelnej pracy. W uniwersytecie okazał się doskonałym dydaktykiem.

Jeden z moich nauczycieli gimnazjalnych był ponad wszelki poziom: dr Ludwik Kamykowski, który, będąc profesorem Szkoły Lubelskiej, uzyskał w UJ habilitację i niebawem (1936) opuścił Lublin, przeniósł się do Krakowa na posadę nauczyciela w Gimnazjum-Liceum Św. Anny i na wykłady zlecone w uczelni, która go wychowała, w której zdobywał stopnie naukowe aż do habilitacji. Uczył mnie tylko przez trzy lata, ale on to sprawił, że na kilka lat przed maturą wybrałem filologię polską jako przedmiot moich studiów. W pracach naukowych, które ogłaszał, był stylistą znakomitym. W uczniach wyrabiał styl przez niezwykle pomysłowe ćwiczenia w mówieniu i w pisaniu. Często powtarzał, że z każdego wypracowania bardzo dobrego można w nieskończoność zrobić lepsze jeszcze. Wypracowania zadawał z lekcji na lekcję. Godziny lekcyjne przekształcał w pewnej mierze w ćwiczenia uniwersyteckie. Do pracy uniwersyteckiej przysposabiał różnymi pomysłami, np. zastąpieniem zeszytu domowego przez teczkę z kartkami. To, co ogólnie było pewną wadą Kamykowskiego, dla mnie było zyskiem ogromnym. Prowadził on lekcję z kilkoma najlepszymi uczniami, dzięki czemu wyrabiał myślenie i osiągał znakomity poziom. Inni osłuchiwali się; co pewien czas przypominał sobie o nich i rozprawiał się z nieuctwem. Nie szczędził przy tym „słów”, był rubaszny, ale miał coś takiego w sobie, że przy rubasności był miły. Kamykowski ma jako badacz naukowy imię utrwalone w dziejach polonistyki. Dodać warto, że szedł przez całe życie o własnych siłach, borykał się na studiach z ciężką biedą, a na posadzie nauczycielskiej skromne było jego utrzymanie przy trojgu dzieciach. Przenosił się, zmieniał posady i miejsce zamieszkania, kierując się zawsze tym, by w nowym środowisku mieć lepsze warunki do pracy naukowej. Chełm Lubelski, Gorlice, Lublin (kilkanaście lat), wreszcie Kraków – to były kolejne etapy w jego życiu. Tragedią osobistą było, że nie dane mu było wypowiedzieć się w pełni w tym, co miał narodowi do przekazania⁴.

Kamykowskiego po jego wyjeździe do Krakowa zastąpił Zygmunt Tołwiński, mający poza literaturą szerokie zainteresowania innymi dziedzinami kultury artystycznej (malarstwo, muzyka). W czasie szkolnych akademii chór szkolny lub ktoś solo śpiewał przy jego akompaniamencie (grał na pianinie). O jego indywidualności świadczy tendencja do rozszerzania programu zamiast niewolniczego trzymania się wypisów szkolnych. Była w wypisach czytanka o Matejce, prowadził klasę do sali epidiaskopowej, by wyświetlić obrazy Matejki. Umarł Szymanowski: poświęcił mu lekcję, czytając wyjątki z Zofii Szymanowskiej *Opowieści o naszym domu*. W klasach licealnych umiał się dostosować do systemu referatowego, podawał zawsze odpowiednio dobraną bibliografię. Czulo się w zetknięciach z nim znanstwo przedmiotu; szedł trochę rozlaźle z kursem⁵.

Skoro wymieniałem kilku nauczycieli, których da się scharakteryzować dodatnio, nie należy pominąć dwu woźnych, ludzi nieposzlakowanej prawości. Ich nazwiska: Antoni Baruk, Jan Binięda.

Humanistyka z wyjątkiem niefortunnie obsadzonej historii stała w Gimnazjum-Lyceum im. Stefana Batorego lepiej niż nauki matematyczno-przyrodnicze. Tradycje szkoły były humanistyczne. Ta atmosfera wpłynęła na mnie. Wpłynęła też inna okoliczność. Przyjacielem mym w latach szkolnych był młodzieniec starszy ode mnie o kilka lat (maturę uzyskał w 1934 r.), niezwykle inteligentny i niezwykle szlachetny, który o wiele więcej niż musiał pracować w zakresie przedmiotów umiłowanych (literatura polska, język francuski, historia), zaniedbywał zaś przedmioty nielubiane. Tym bakcyłem zaraził mnie. Żałowałem szybko po maturze, że i ja tak postępowałem w wyższych klasach.

Udały mi się w szkole pewne wystąpienia referatowe. W obecności wizytatora, dra Feliksa Araszekiewicza, z którym zetknąłem się po latach na długo w pracy zawodowej, wygłosiłem na zebraniu lansowanego wówczas Koła Kulturoznawczego referat o kościele świętego Michała w Lublinie (na podstawie odpowiedniego rozdziału w dziele Jana Ambrożego Wadowskiego *Kościoty lubelskie*). Jedno wystąpienie zostało przyjęte z aplauzem przez dyrektora szkoły i przez znacznych członków grona nauczycielskiego, tylko nie przez nauczyciela, który je spowodował. Wspomniany historyk, bardzo zaniedbujący się w swych obowiązkach, był opiekunem szkolnego koła Ligi Morskiej i Kolonialnej. Wypadło mu zorganizować akademię z racji rocznicy zaślubin Polski z Morzem, 10 lutego w 1938 r. Przypomnił sobie o akademii poprzedniego dnia. Podjąłem się napisania referatu, nad którym siedziałem całą noc i, wiedząc o tym, że referat nie będzie cenzurowany, bo na to nie ma czasu, uwypukliłem nazwisko głównego „aktora” zaślubin, gen. Józefa Hallera. Kierowałem się pewnym precedensem. Kilka lat wcześniej jeden z moich starszych kolegów miał w ramach akademii szkolnej referat o bitwie pod Rarańczą, doskonały, ale nazwisko Hallera zostało przez tegoż historyka wykreślone. Było wojsko polskie, nie było dowódcy. Fałszowanie nauki historii w szkole jest zjawiskiem niestety trwałym. W latach poprzedzających drugą wojnę światową narastała niemal z każdym miesiącem, coraz większa deifikacja Piłsudskiego. To było przyczyną, dla której 11 listopada stał się świętem obchodzonym nierównie bardziej uroczyście niż 3 maja. Wszystkie akademie szkolne apoteozowały Piłsudskiego.

Dwa inne moje wystąpienia szkolne związane były z romantyzmem. Na lekcji języka polskiego wygłosiłem w klasie maturalnej referat o mistycznym okresie twórczości Słowackiego, nie przerabianym przez wszystkich; na zebraniu Sodalicji Mariańskiej referat o stosunku Norwida do Stolicy Apostolskiej. Szykowałem się w 1939 r. wyraźnie na studenta polonistyki, licząc się oczywiście z tym, że jeden rok zabierze mi służba wojskowa, która dla ludzi z cenzusem

zaczynała się według ustawy z 1938 r. zaraz po maturze. Przyglądałem się trochę nazwiskom historyków literatury wykładających w wielu uniwersytetach i ich pracom; wiedziałem, że w Krakowie wykłada Stanisław Pigoń, największy znawca Mickiewicza, a we Lwowie Juliusz Kleiner, największy znawca Słowackiego. Wiedziałem, że zmarły w 1937 r. Józef Ujejski był autorem monografii o Malczewskim. Wiedziałem o nagrodzie państwowej Wacława Borowego. Wiedziałem, że Julian Krzyżanowski, znany na gruncie lubelskim profesor Uniwersytetu Warszawskiego, jest kuratorem Koła Polonistów, które wiele daje znać o sobie. Słyszałem o wystąpieniu Stefana Kołaczковского w UJ w sprawie reformy studiów polonistycznych, szeroko dyskutowanej. Znałem trochę innych nazwisk, chyba wszystkich historyków literatury wykładających w uniwersytetach. Najmniej wiedziałem o świetnej strukturze studiów humanistycznych w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Nazwiska Kridla i Górskiego znane mi były jako autorów podręczników: w pierwszym wypadku – wycofanego już z oficjalnego obiegu, choć nie zastąpionego nowym, w drugim wypadku – wprowadzonego w klasie o rok niższej od mojej, znakomitego. Toczył się od lutego 1938 r. proces docenta Stanisława Cywińskiego, znanego mi jako norwidysty – po okropnym pobiciu przez oficerów. Przeżywałem głęboko jedną z największych nieprawości dwudziestolecia międzywojennego. Poprzednie podobne, pobicie Liebermana i Nowaczyńskiego, znałem ze słyszenia.

Na tle polonistyki w uniwersytetach państwowych nie mogłem ocenić wysoko lubelskiej. Miałem bliskie kontakty ze starszym kolegą, już studentem, i wiedziałem, co się na lubelskiej polonistyce dzieje.

Z perspektywy czasowej podtrzymuję przekonanie, że nie była to polonistyka świetna. Wydział Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych stał w KUL na należytych poziomach, był „oczkiem w głowie” rektora, ks. prof. Antoniego Szymańskiego. Gorzej było z Wydziałem Nauk Humanistycznych, w którym przedstawiano na kształceniu nauczycieli dla szkół typu humanistycznego, bo takie były, obok tzw. „realnych” w Lubelskiem przed reformą jędrzejewiczowską (a więc filologia klasyczna to była łacina z małą domieszką greki), nie przygotowywano planowo do pracy naukowej. Wybijający się studenci nie otrzymywali np. stypendiów doktoranckich, nie byli wysyłani na dalsze studia zagraniczne lub krajowe. Własną pracą dochodzili do pewnych osiągnięć naukowych. W czerwcu 1939 r. jako świeży maturzysta nie widziałem siebie, po odbyciu służby wojskowej, na ławie uniwersyteckiej w KUL, myślałem o UJ lub o UW.

Do refleksji poprzednich na temat pewnych niedostatków w wykształceniu spowodowanych trochę nieudolnością niektórych nauczycieli w Gimnazjum-Liceum im. Stefana Batorego, trochę własnymi zaniedbaniami, dorzucić wypadnie co nieco uwag ogólniejszych na temat jędrzejewiczowskiego systemu. Czy szkoła ma być jednolita, czy podzielona na: powszechną, gimnazjum i liceum,

jak to się stało w moim roczniku? – to sprawa na pozór obojętna. Istotna jest tylko troska o to, by młodzież była jak najdłużej pod opieką nauczycieli z wyższym wykształceniem. Po wojnie dowiedziałem się, że prof. Juliusz Kleiner, zbliżony do kół sanacyjnych, był przeciwnikiem reformy z 1933 r. właśnie dlatego, że miejska młodzież dwu najmłodszych klas ośmioletniego gimnazjum przechodziła pod opiekę nauczycieli bez wyższego wykształcenia.

Gimnazjum i liceum miały podobny cykl tematyczny. Przykładowo: nauka chemii trwała w czteroletnim gimnazjum przez pół roku i w dwuletnim liceum typu humanistycznego także przez pół roku. Czy nie lepiej było raz porządnie zamiast dwa razy po łebkach? – Historia od starożytności po współczesność była w zarysie w czteroletnim gimnazjum; w dwuletnim liceum powtarzano ten sam zakres inną metodą. Podobnie było z literaturą polską, bo w czteroletnim gimnazjum pokazywano historię literatury w miniaturze poprzez czytanki, w dwuletnim liceum kurs literatury miał być już poważniejszy i systematyczny, ale niektóre utwory powtarzano. A czasu było bardzo mało!

Metoda czytankowa w gimnazjum w wypisach i w podręcznikach spowodowała, iż zdarzały się zbyt dziecinne. Czytelnik szesnastoletni inaczej reaguje na pewne sprawy niż dwunastoletni. Metoda zagadnieniowo-referatowa w liceum miała być w założeniu czymś pośrednim między szkołą i uniwersytetem. W praktyce ideał nie został powszechnie zrealizowany, gdyż nauczycielstwo było w minimalnej części przygotowane do tego. Podręczniki dla liceum nie pojawiły się na czas. Gdy zaczęły się ukazywać, należało pewne z nich powitać jako stojące na wysokim, niemal uniwersyteckim, poziomie.

Przerwę w dalszej edukacji spowodowała wojna. Powołany zostałem jeszcze przed historyczną dla całego Narodu datą 1 września 1939 r. na tzw. trzeci turnus obozu Junackich Hufców Pracy. Stawiłem się bodaj 17 sierpnia w Osowcu k/Grajewa, gdzie stał nasz batalion, którego jedna kompania, właśnie moja, zakwaterowana była i zatrudniona w Goniądzu. Byliśmy oddaleni tylko o dwadzieścia kilka km od granicy pruskiej. W dniu 3 września zakomunikowano nam, że odbiliśmy Grajewo, a więc było zajęte, i zdobyliśmy Prostki – już za granicą. Dziwiliśmy się tylko, dlaczego trzymano nas w obozie pracy zamiast wcielić do wojska. Do tego doszło jednak. Dnia 7 września opuściliśmy Goniądz i po dniu 8 września spędzonym w Białymstoku, gdzie oczekiwaliśmy na dalsze rozkazy, odstawiono nas do Lidy, wcielając do Kursu dywizyjnego podchorążych rezerwy piechoty przy 19 dywizji. Dywizja wyruszyła z Lidy w historycznym dniu 17 września i brała udział w obronie Grodna. Dnia 23 września przekroczyliśmy granicę polsko-litewską, zostaliśmy internowani na Litwie.

Roztaczano przed nami miraże, że przez Szwecję i Norwegię zostaniemy przesłani do Francji. Przekraczając granicę litewską w wieku 17 lat, nie znałem pojęcia „internowany”; doświadczyłem na własnej skórze, kim jestem. Dziwiłem

się tylko nieco później, że tego pojęcia nie znał rząd polski, przekraczając granicę rumuńską. Liczył na *droit de passage*, na przejazd w salonowych wagonach do portu i stamtąd okrętem wojennym do Francji w pełnym składzie. Rumunia była rzekomo w sojuszu militarnym z Polską. Król rumuński był honorowym dowódcą jednego z pułków polskich. A tymczasem... naszemu prezydentowi nie pozwolono nawet napisać listu do króla. Rząd został internowany, drogowskaz widzieliśmy w rządzie nowym, który odtworzono na ziemi francuskiej, posłużwszy się paragrafem konstytucji z 1935 r., który prezydentowi dał możliwość w czasie wojny wyznaczyć swego następcę na wypadek zgonu lub rezygnacji. Rzeczycy ogólnie znane...

Okres internowania spędziłem na Litwie w Rakiszkach, później w Wyłkowyszkach. W Rakiszkach nie było koszar. Mieszkaliśmy w różnych punktach miasta, w przypadkowo dobranych i zaadoptowanych pomieszczeniach, przed którymi stała warta. Były książki ofiarowane nam przez okoliczne dwory, przeważnie starzyzna (Kraszewski, Korzeniowski itp.). Słuchaliśmy sporo dzienników radiowych, co w pewnych okresach było szykanowane przez władze litewskie. Oficerowie wygłaszali odczyty, m.in. por. Ostrowski urozmaicał nam czas prelekcjami o alpinistyce: z autopsji mówił o zdobywaniu szczytów w Andach i na Kaukazie, z literatury – o zdobywaniu Mont Everestu. Gdy oficerowie wyjechali (skoncentrowano ich w Kalwarii), znaleźli się prelegenci w naszym gronie, zwłaszcza wśród podchorążych. M.in. występowałem i ja z odczytami: o pornografii w literaturze (co mi zjednało przydomek „dziewiczego pornografisty”), o Kossak-Szczuckiej, o Karolu Hubercie Rostworowskim. Wydaliliśmy jednodniówkę, krążącą w odpisach – „Podchorąży”. Egzemplarz jest w Dziale Rękopisów Biblioteki Narodowej w Warszawie. Jest tam i moja gryzmołka, infantylna, zdradzająca załążek historyka literatury. Wzmiankę o mnie jako prelegencie obozowym uczynił w książce autobiograficznej towarzysz niedoli, starszy ode mnie, Antoni Lasocki, już nie żyjący, którego w Londynie spotkałem... po 50 latach⁶.

W Wyłkowyszkach mieszkaliśmy w koszarach, odciętych drutem kolczastym od reszty koszar litewskiej kawalerii. Byliśmy bardziej zamknięci, ale pod wielu względami było lepiej i lepiej zorganizowane było życie intelektualne. Indywidualnością prawdziwą był por. Tadeusz Bornholz, historyk, autor podręczników. Wysłuchałem cyklu jego wykładów składających się na dzieje Europy od kongresu wiedeńskiego do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Należałem do tych, którzy wywiali z obozu w momencie wywożenia internowanych polskich w głąb Rosji. Przeżyłem rok 1940/1941 w Wilnie. Trochę czytałem, ale nie uczyłem się niestety. Przeżywałem tylko zetknięcie z prawdziwie znakomitym teatrem. Przed wojną widziałem w Lublinie raz tylko Juliusza Osterwę, gdy wraz z trupą przyjechał, wystawiając Jerzego Zawieyskiego *Powrót Przełęckiego*. W Wilnie był znakomity komik miejscowy, Leon Wołłyko.

Ale z Warszawy przybyli jako uchodźcy: Zygmunt Chmielewski, Jan Kurnakowicz, Stanisława Perzanowska i inni⁷. Doczekałem w Wilnie przyjscia Niemców. Postanowiłem dostać się do Lublina. Zatrzymany na połowie drogi pomiędzy Wilnem i Grodnem zmieszany zostałem z bolszewickimi jeńcami i na prawach sowieckiego jeńca przeżyłem prawie dwa lata, w tym dwa miesiące pod gołym niebem. Przystanie moje po krótkich postojach (Grodno, Suwałki, Prostki) to były: Witzendorf (Lüneburger Heide, Stalag X D), Zeven (tzw. Arbeitskommando), Sandbostel (Stalag X B). Dopiero w 1943 r. udało się dołączyć do grupy jeńców polskich i wczesną wiosną 1944 r. uzyskać „Heimatsendung”, powrócić ostatnim możliwym transportem do Polski. Straszna zima 1941/1942 w Witzendorfie, w obozie, który pod względem śmiertelności niewiele różnił się od Oświęcimia czy Majdanka (jedynie tortury nie były regułą) wpłynęła fatalnie na mój rozwój intelektualny; zapomniałem wiele z tego, co wyniosłem ze szkolnej nauki. Słyszając, że do nauki już nie wrócę, gdyż „Polen gibt's nicht mehr”, tym bardziej postanowiłem sobie, że życie moje będzie służbą nauce polskiej.

Powrót do domu nastąpił w kwietniu 1944 r. Nie zastałem Ojca, który zmarł przed dwoma laty w czasie, gdy byłem pozbawiony możliwości korespondencji i Rodzice nic nie wiedzieli o mnie. Przybyłem niemal dosłownie na prymicje mojego Brata, wyświęcanego na kapłana. Okupację niemiecką w Polsce poznałem więc jeszcze trochę z autopsji. Zaangażowałem się w konspirację, w której trwałem do 1946 r., współredagowałem, a potem redagowałem pismo „W Ogniu Walki”, które zmieniło następnie tytuł na „Jestem Polakiem”. W latach „ubeckich” nie uniknąłem przesłuchiwania, ale aresztowany nie byłem. Oczywiście, uczestniczyłem w tajnym nauczaniu, dając lekcje prywatne i ucząc się sam: dr Janina Pliszczyńska, później profesor KUL, uczyła mnie greki i na wyższym poziomie łaciny: dzięki jej lekcjom poznałem Tacyta, z którym nie zetknąłem się w nauce szkolnej.

Niemcy opuścili ziemię leżącą pomiędzy Bugiem i Wisłą 22 lipca 1944 r. Należałem do tych, którzy tego faktu nie nazywali wyzwoleniem i nie żyli z tego powodu w euforii. Patrząc na to, jak aresztowano i rozstrzelowano akowców, obawialiśmy się wszyscy tego, że i po każdego z nas mogą przyjść. Stosunek do Kościoła był tylko propagandowo lojalny. Zlikwidowano większą własność na wsi i uczyniono wielu ziemian dziadami. Głód mieszkaniowy w Lublinie był przerażający. Jedynym szczęściem Narodu było to, że młodzież się uczyła. Ruszyły szkoły, trochę zagaściła się ich sieć, a kadry szkolne były przerzedzone, wskutek tego zaistniało zjawisko nauczycieli nie w pełni wykwalifikowanych. Grupa niewielka profesorów KUL przy poparciu wikariusza generalnego lubelskiej diecezji (biskup Fulman nie wrócił jeszcze z zesłania) nie przespała gruszek w popiele: wystąpiła do PKWN o zwrot gmachu i o reaktywowanie Uczelni. Przeciwny był kierownik resortu oświaty, dr Stanisław Skrzyszewski, postulował upaństwowienie. Wyraźnym wrogiem KUL pozostał później jako minister

oświaty. Mimo jego oporu udało się uzyskać zatwierdzenie dla instytucji, która wznowiła działalność.

Skład wykładowców filologii polskiej zmienił się całkowicie; przede wszystkim wydarzeniem w dziejach Uczelni było objęcie pierwszej katedry historii literatury polskiej przez Juliusza Kleinera. Odnalazłem znakomitego przewodnika naukowego i rozpocząłem studia w KUL. W dwu przemówieniach jubileuszowych wypowiedział się Juliusz Kleiner, że nauczycielem czuł się przede wszystkim. To sformułowanie było dla mnie myślą przewodnią. Praca pedagogiczna była oddechem w naukowej, naukowa w pedagogicznej. Studiując musiałem zarabiać. W pierwszym roku i częściowo w drugim pracowałem w Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego, ale już w środku drugiego roku studiów zostałem praktykantem wspomnianej dr Pliszczyńskiej w Gimnazjum im. Stanisława Staszica; prowadziłem łącinę w jednej z klas, uczyłem początków języka według podręcznika dr Pliszczyńskiej *Homo sum*. Pamiętam moment, w którym rozległ się dzwonek i dr Pliszczyńska za chwilę miała mnie wprowadzić do klasy, a nauczyciel fizyki, prof. Kazimierz Trzeciak, zażartował, mówiąc do p. Pliszczyńskiej: „Pani powinna wystąpić w todzie i w togę ubrać kol. Starnawskiego”.

Studiowałem obok polonistyki także trochę filologię klasyczną i na niezapomnianych ćwiczeniach dr Pliszczyńskiej poznałem genialny utwór Horacego *De arte poëtica*. W tym samym roku prof. Andrzej Wojtkowski na seminarium historii kultury polskiej, na które uczęszczałem, przypomniał przy końcu roku o konieczności oddawania referatów i wyraził się: „Oby nie było sytuacji

Parturiunt montes, nascitur ridiculus mus”.

Po czym zapytał, kto to napisał, a, otrzymawszy ode mnie odpowiedź, że Horacy w dziele *De arte poëtica*, skwitował to zwrotem: „Patrzenie, to jest literat kuty na cztery nogi”. Marzyłem o dwu magisteriach, z polonistyki i z filologii klasycznej. Odradził mi to prof. Kleiner; podsunął mi myśl, by filologia klasyczna była u mnie przedmiotem pobocznym przy doktoracie z historii literatury polskiej, do którego będę mógł w ten sposób dojść szybciej. Tej zbawiennej rady posłuchałem.

W czasie studiów głównym przewodnikiem naukowym był dla mnie, jak się rzekło, prof. Kleiner. Obejmując katedrę w KUL w 1944 r., powiedział ks. rektorowi Antoniemu Słomkowskiemu, że to tylko chwilowo. Liczył się z tym, że w 1945 r. jako profesor państwowego uniwersytetu będzie musiał objąć katedrę w innym środowisku. Wypadek, w którym uległ złamaniu szyjki w stawie biodrowym, spowodował pozostanie w Lublinie: mieszkał w gmachu KUL i na tym samym pięttrze wykładał. Nominację otrzymał na profesora UJ, ale pobyt w Lublinie przedłużał się jeszcze z powodu braku mieszkania w Krakowie. Te okoliczności sprawiły, że należałem do pokolenia, które pod kierunkiem Kleinera przejść mogło wszystkie stopnie uniwersyteckich ćwiczeń. Ćwiczenia wstępne (wprowadził

je w 1912 r. w Uniwersytecie Lwowskim jako docent) były na terenie lubelskim nowością, dawały znakomitą encyklopedię w zakresie naukowego warsztatu i metodologii badań historycznoliterackich. Obowiązywało napisanie pracy wstępnej. Seminarium niższe miało jako całoroczny temat analizę jednego większego utworu, zazwyczaj dramatu; na seminarium wyższym odczytywano fragmenty prac magisterskich i dysertacji doktorskich. Dyskusjom przewodniczył znakomity kierownik seminarium, rozłamując trudności w wysunięciu przez studentów problemów stosownych; korzystało się u niego bardzo wiele.

Nauczycielom wpajał zasadę: „Lichy program, lichy podręcznik i dobry nauczyciel to kombinacja lepsza niż dobry program, dobry podręcznik i zły nauczyciel”. Przestrzegał sam jako dydaktyk szkolny i uniwersytecki wytycznej, iż nauczyciel winien przyjść na zajęcia z bardzo dobrze obmyślanym planem, ale nie powinien być niezadowolony, gdy planu nie wykona. Przeciwnie: jeśli plan jest zawsze wykonany, to znaczy, że klasa czy audytorium uniwersyteckie odznacza się biernością. Mądry nauczyciel skodyfikował pojęcie prawdziwej wolności słowami: „Wolność jest to poddanie się uznaniem obranemu przez siebie prawu i realizowanie tego prawa”.

W latach moich studiów była w środowisku uniwersyteckim lubelskim abundacja interesujących odczytów organizowanych przez: Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Polskie Towarzystwo Filologiczne, Klub Literacki, Towarzystwo Naukowe KUL (publiczne wykłady), Koło Polonistów Studentów KUL... Kleiner był gorliwym uczestnikiem zebrań, prelegentów młodszych podtrzymywał na duchu w razie niepowodzeń, wydobywał dodatnie strony ze słabych wystąpień. Ten typ krytyki nazwał Stanisław Pigoń, pisząc o Kleinerze „krytyką współtworzącą”⁸. Wykłady Kleinera, w których w ciągu dziewięciu trymestrów przedstawił tom II monografii Mickiewicza, przyciągały słuchaczy spoza grona studentów. Opuściłem ich bardzo niewiele, ale uczestniczyłem także bardzo gorliwie w zebraniach z odczytami organizowanych przez odpowiednie stowarzyszenia. Współpracowały one pomiędzy sobą i rzadko dochodziło do kolizji. Gdy raz zdarzyło się, że zaistniała kolizja pomiędzy posiedzeniami Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza i Polskiego Towarzystwa Filologicznego, zwróciłem się do prof. Kleinera z zapytaniem, na które mam się udać; odpowiedział: „Jak Panu dyktuje Pańskie filologiczno-polonistyczne sumienie...” Na to odrzekłem: „Moje sumienie jest polonistyczno-filologiczne”. Odpowiedź Kleinera była: „Chciałem, żeby to Pan powiedział”. I poszedłem na posiedzenie Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza.

Krótkie było moje zetknięcie z indywidualnością profesorską bardzo wybitną, z Henrykiem Elzenbergiem. Ten znakomity uczoney, a przy tym człowiek niesłychanie skromny, dopiero z początkiem 1946 r. otrzymał zwyczajną katedrę filozofii w UMK. W KUL wykładał przez dwa trymestry zastępczo na sekcji filologii

francuskiej po przyjeździe z Wilna. Przesłuchałem jego wykład uniwersytecki *Idealy estetyczne francuskiego klasycyzmu*. Lektura przemyśleń zebranych w tomach, które wyszły tuż przed śmiercią autora i bezpośrednio po śmierci dostarczyła mi po latach prawdziwych uczt duchowych⁹.

Pojawił się na gruncie lubelskim po drugiej wojnie światowej Jan Parandowski. W wywiadzie ogłoszonym w latach międzywojennych oświadczył on, że nie chciałby być profesorem. Zgodził się na przyjęcie katedry uniwersyteckiej zmuszony potrzebą bytową. Przez jeden trymestr myślano o powierzeniu mu katedry kultury klasycznej. Stało na katedrze literatury porównawczej; powtórzono precedens lwowski (katedra Jana Kasprówicza). Wykłady Parandowskiego były pięknymi esejami, seminaria – rozmową z pisarzem o zagadnieniach twórczości. Z wykładów o humanizmie wyrosło studium o Petrarce, z rozmyślań nad tajemnikami pisarstwa – *Alchemia słowa*. Zajęcia te były nęcącym dopełnieniem wykładów innych profesorów, nie mogły być zasadniczym trzonem studiów. Parandowski otrzymał nominację na zwyczajnego profesora, wskutek czego oddawał usługi wydziałowi jako egzaminator przy doktoratach¹⁰.

Szczytne były tradycje w uniwersytetach polskich, gdy profesorowie (od słowa *profiteor*) wykładali to, co było ich przemyśleniem, gotowym do druku. Poza wspomnianymi wykładami Kleina o Mickiewiczu, wymienić tu trzeba prof. Tadeusza Milewskiego *Zarys językoznawstwa ogólnego* (wykładany przez jeden rok w KUL i opublikowany z inicjatywy słuchaczy) i prof. Marii Dłuskiej *Studia z historii i teorii wersyfikacji polskiej*. Prof. Stefan Kawyn, rozpoczynający działalność na katedrze, obracał się w swych zajęciach w tematyce literatury polskiej w Kraju w latach 1831–1863 i w tematyce kultu Mickiewicza, a więc tych problemów, którym poświęcił Iwii część swych prac¹¹.

Z profesorem prowadzącym dla polonistów historię Polski, z miedewistą Leonem Białkowskim, obcowało się jako z arcygawędziarzem, który czerpie z ogromnego skarbcza wiedzy. W wykładach najbardziej interesujące były dygresje. Najświetniejszy był wtedy, gdy czuło się, iż pięć minut przed wykładem nie wiedział o tym, co powie. Jedna dygresja wywoływała drugą i z każdej można było dowiedzieć się wiele. Skłonność podobną spotkałem także u historyka sztuki Mariana Morelowskiego, ale jego dygresje nie stały na takim poziomie, na jakim stały dygresje Białkowskiego. Białkowski nie miał jednak daru wypisania, był autorem prac drobnych. Żałować wypadnie, że wielu przemyśleń nie dopracował do końca. Był na ogół pobłażliwy, ale drażnił go brak inteligencji. Gdy na zajęciach z nauk pomocniczych studentka przeczytała *mittesimus*, piorunował, że paleografii można nie umieć, ale kto czyta *mittesimus*, nie ma co robić na studiach. Jakże to godne przypomnienia dziś, gdy potworki *realium*, *similium* przychodzą na świat w pracach naukowych. Parandowski w latach profesury w KUL mówił, że absolwenci filologii klasycznej, których teraz spotyka, umieją mniej

z łaciny i z greki niż maturzyści klasycznych gimnazjów galicyjskich w czasach jego młodości. Co powiedziałyby o tym dziś?...

W filologii klasycznej odnalazłem od III roku studiów profesora właściwej miary w osobie Mariana Plezi. Był tylko pięć lat starszy ode mnie, jako zastępca profesora stawiał pierwsze kroki, ale doskonale panował nad wszystkimi obszarami tej wielkiej dziedziny, którą Niemcy zowią *Altertumswissenschaft*. Ustalenia zastane w zakresie filologii w KUL zmieniał, ale szanował wszystkie zarządzenia poprzednika. Był świetnym prelegentem, znakomitym kierownikiem prac magisterskich. Odczuwało się od początku, że właściwą jego domeną była łacina średniowieczna. Orientował się doskonale w historii filologii klasycznej w Polsce. Od początku zaskarbił sobie szacunek i przyjaźń asystentów starszych wiekiem od niego, którzy w nim spotkali właściwego przewodnika dysertacji doktorskich¹².

W latach 1946–1948, a więc będąc studentem III i IV roku, byłem jednocześnie pełnowymiarowym nauczycielem języka polskiego w Gimnazjum-Liceum im. Jana Zamoyskiego w Lublinie. Jako nie w pełni wykwalifikowany byłem pod dydaktyczną opieką niezapomnianej mgr Małgorzaty Szewczykówny¹³. Wiele życzliwych koleżeńskich rad przyjąłem od łacinnika, mgra Jerzego Łopatyńskiego, który w bardzo późnym wieku korespondował ze mną; radośnie witał moje gryzmoły w „Meandrze” i w pewnych latach w „Filomacie”. Uczyłem w czasach dla mnie błogich, w których nie obowiązywał program sztywny; nauczyciel mógł nie trzymać się wypisów, wprowadzać lekturę wybraną przez siebie. Klasę IV „jędrzejewiczowskiego” gimnazjum zaciekałem, rozpoczynając kurs od trzech nowel poświęconych styczniowemu powstaniu: Żeromskiego (Maurycygo Zycha, czego moi uczniowie sami nie rozszyfrowali) *Rozdziobią nas kruki, wrony...* i *Echa leśne*, Orzeszkowej *Gloria victis*. Ale w tym ostatnim wypadku uczniowie p. Łopatyńskiego wyrwani do odpowiedzi przetłumaczyli tytuł, czego po latach nie osiągnąłem niekiedy od egzaminowanych studentów polonistyki.

Na początku działalności miałem problem do rozstrzygnięcia. W lubelskim wydawnictwie Lamus wychodziły „charakterystyki literackie” i właśnie posypała się seria pomocna IV klasie: *Placówka, Nad Niemnem, Syzyfowe prace, Ludzie bezdomni, Potop, Wesele*. Zasygnalizowano mi ukradkiem, że uczniowie moi korzystają potajemnie z tych opracowań. Zająłem bez chwili wahania stanowisko, że opracowania te nie są brykami, że są napisane nie przez nieznanego nikomu prof. Zbigniewa Zatorskiego (przedwojennego autora bryków, o którym nikt nic nie wiedział), ale przez autorów tak odpowiedzialnych, jak Kleiner, Kawyn, Araszkiwicz i in. A więc korzystanie jest dozwolone tak, jakby to było rozszerzenie wiedzy o utworze przeczytaniem obok tekstu także opracowania, np. wstępu w Bibliotece Narodowej.

W jednej klasie miałem inny orzech do zgryzienia: mały wpadunek. Była to klasa przyspieszona, rok skurczony do połowy. Wypisy Franciszka Bielaka i Jana

Bystronia *Życie polskie* na III klasę pokazywały, zgodnie z programem, Krasickiego w miniaturze: *Żonę modną* i kilka bajek. Zadałem wypracowanie o humorze i dowcipie w przeczytanych utworach. Wywołany uczeń czytał mi z zeszytu o wpływie Voltaire'a na Krasickiego, ale zapytany: kto to był Voltaire? – nie wiedział. Przyciskałem do muru, skąd odpisał wypracowanie, nie przyznał się. Gdy zapytałem: „kto Ci pisał?”, odpowiedział, że „przerabia” z jednym panem. Zarządziłem, by ten pan przyszedł do mnie po instrukcję, ale usłyszałem, że to p. J., naczelnik wydziału (moja władza). Wybrnąłem z tego tak, że pan naczelnik nie potrzebuje do mnie przychodzić, ale trzeba mu zawsze powiedzieć jasno, co jest zadane i na jakiej podstawie. „Pan naczelnik robi ci wykłady, z których nic nie rozumiesz”. Nb. nie wierzyłem w świetność wykładów „pana naczelnika”.

Miłowałem zawsze teatr. Przerabiając np. *Zemstę*, „odgrywałem” w klasie niektóre sceny. Na Zjeździe Kół Polonistów w Krakowie w końcu października 1946 r., pierwszym powojennym i obradującym w miłej atmosferze, wygłosiłem referat *Młody polonista w szkole średniej*. Powtórzyłem go w Lublinie w obecności prof. Kleinera i przyjemnie mi było usłyszeć od „krytyka współtworzącego” zdanie, że wiele można się spodziewać po takim nauczycielu. W Kole Polonistów prezesowałem przez jedną kadencję. Wygłaszałem przemówienia: powitalne dla prof. Władysława Kuraszkiewicza, który po obozie koncentracyjnym hitlerowskim i po „rekonwalescencji” na Zachodzie wrócił w 1946 r. do KUL na katedrę, pożegnalne dla prof. Juliusza Kleinera opuszczającego KUL. Przywitałem w imieniu Koła Polonistów Gustawa Morcinka, który przyjechał do KUL z odczytem. Wraziłem się, że Zofia Kossak-Szczucka, autorka przedmowy do *Serca za tamą*, była „matką chrzestną” pisarza. Ten termin, jak się ucieszyłem, przylgnał w literaturze o Morcinku.

Jako młody nauczyciel miałem czasem towarzyskie spotkania. Jeden z uczniów był bratem dwu moich koleżanek uniwersyteckich. Nie spowodowało to taryfy ulgowej; miałem tylko dyskretnie zdobywane informacje o tym, jak jestem przez uczniów oceniany. Szkoła była już upolityczniana. Ale dyrektor Alojzy Paciorek był prawym, dobrym Polakiem. Musiałem kiedyś ułożyć program akademii o Armii Czerwonej. Spośród materiałów przysłanych odrzuciłem takie, w których np. mówiło się: „Wyzwolicielko ludów!” Wybrałem wiersze ukazujące żołnierza w pyle, w brudzie, w chłodzie, a więc uwypuklające te cechy, które w powstańcach 1863 r. ukazywał Żeromski.

Na jedno rozstrzygnięcie musiałem zdobyć się sam. Nigdy nie dość żalowany duszpasterz akademicki, ks. Jerzy Mirewicz TJ, dał mi radę, by do dyrektora się nie zwracać, bo dyrektor pozwolić nie może. Prasa rządowa wiosną 1948 r. szalała w wypowiedziach skierowanych przeciw papieżowi. Prasa katolicka, w dużym stopniu skrepowana cenzurą, naświetlała jednak sprawę sensownie. Obaj historycy uczący ze mną stali daleko od Kościoła i wiedziałem o tym, że przedstawiają

sprawę po linii sloganowych wypowiedzi prasy rządowej. W klasach, w których uczyłem, naświetlałem problem w oparciu o artykuły z katolickiej prasy.

Dwa razy byłem z młodzieżą Gimnazjum-Liceum im. Zamoyskiego na wycieczkach szkolnych: Kraków; Nałęczów–Kazimierz–Puławy. Gdy w 1948 r. wiedziałem, że wypadnie mi pożegnać się z tą szkołą, zgłosiłem się jako opiekun drużyny harcerskiej na obozie ulokowanym w Szczecińskim (wyspa Wolin), by dłużej być z młodzieżą. Wzruszające było jedno spotkanie z uczniem Liceum im. Jana Zamoyskiego na cyklu wykładów prof. Mieczysława Ziemnowicza w UMCS, *Nauka o dziecku*, przeznaczonych dla wychowawców i dla rodziców. Mój uczeń zasiadł ze mną na jednej ławie, gdyż w harcerstwie prowadził świetlicę dla dzieci-uliczników. Harcerstwo zapamiętane przeze mnie przed drugą wojną światową przechodziło kryzys: nie było tam co robić, gdy skończył się wiek przeskakiwania przez strumyki i przez ogniska. Jednakże, jak się zorientowałem później, kryzys ten nie był ogólnopolski. Zetknąwszy się tu z owocną pracą wychowawczą, tym bardziej zapragnąłem uczestniczyć w harcerskim obozie jako opiekun.

Magisterium uzyskałem w kwietniu 1948 r. na podstawie pracy *Tragizm w dziełach Karola Huberta Rostworowskiego*. Fragmenty ogłosiłem drukiem po latach, nieco zmienione. Ale były inne *iuvenilia* w moim dorobku lat studenckich, do których mam stosunek krytyczny i nie wznowiłem ich w tomach studiów rozproszonych, w których pasowałyby tematycznie. Ze względu na obecność w KUL Kleinera do kwietnia 1948 r. (w r. akad. 1949/1950 spędził zimę w Lublinie: część trymestru I i trymestr II, po czym zamieszkał na stałe w Krakowie), ze względu na posadę w szkole średniej o dużych tradycjach, dotrwałem w moim mieście rodzinnym cztery lata, aczkolwiek odczuwałem potrzebę rozszerzenia horyzontów w innym środowisku i zbierania materiału do dysertacji doktorskiej w księżnicy większej niż ówczesna Biblioteka KUL. Doktorat przewidywałem i zachęcał mnie do niego prof. Kleiner; prof. Kawyn w pewnej rozmowie, która zaczęła się dramatycznie, ale zakończona została serdecznie przy dobrej woli obu stron, pierwszy z moich profesorów powiedział mi, że będę profesorem uniwersytetu.

Jako pierwszy etap „pozalubelski” wybrałem Kraków. Nie otrzymawszy posady nauczycielskiej w Krakowie, przyjąłem szkołę stopnia licealnego (gimnazja były świeżo skasowane) w Charsznicy k/Miechowa. Skumulowane miałem lekcje w trzech pierwszych dniach tygodnia, trzy końcowe spędzałem w Krakowie. Taki podział czasu byłby korzystny, gdyby nie ta okoliczność, że droga z Charsznicy do Krakowa z przesiadką w Tunelu trwała 2 godziny i... pociąg był nieoświetlony. „Orka na ugorze” miała swój wdzięk i dobrze, że i przez to przeszedłem. Wsie dopiero elektryfikowały się, radio na wsi było rzadkością, telewizji jeszcze nie było. Szkoła była dla wiejskiej młodzieży drugim domem. Rwali się chłopcy i dziewczęta do godzin popołudniowych świetlicowych spędzanych pod

nadzorem nauczyciela. Lwia część młodzieży mówiła gwarą. Na wywiadówkach miałem mamusie dziwić się, że córka mówi źle po polsku, skoro w domu mówi dobrze.

„Orka na ugorze” spowodowała jeszcze jeden obowiązek. Tworzyłem *ex nihilo* bibliotekę szkolną. Upatrywałem w księgarniach krakowskich (Stefan Kamiński, Mieczysław Kot) tanie wydania tekstów szkolnych. Nie było podręcznika dla dwu klas uczących się literatury staropolskiej. Zastąpił go mój wykład, ale w sukurs przyszły teksty szkolne, przede wszystkim w opracowaniach Biblioteki Arcydział Poezji i Prozy i Biblioteki Pisarzy Polskich i Obcych. Teksty przywoziłem z Krakowa, także na prywatne zamówienie uczniów. Godziłem się na rolę „listonosza”, by utwory potrzebne doszły do rąk uczniów. Raz byłem „listonoszem” mej uczennicy, przywożąc na jej prośbę książkę potrzebną jej do szkolenia harcerskiego. Cel był słuszny, uczennica pod każdym względem dobra, poważna; zamówienie wykonałem, jakby dla koleżanki.

W Krakowie ucześnieczałem w tym czasie na proseminarium prof. Romana Ingardena (Kartezjusza *Medytacje*), początkowo też na jego wykład z ogólnej metodologii nauk. Głosił publicznie, że na wykłady można nie chodzić, ale sala, w której wyładał, „pękała w szwach”. Wymagał oczywiście frekwencji na proseminariach i seminariach, przyjmował za zgłoszeniem. Uczęszczały na jego ćwiczenia osoby utytułowane doktoratem. Na seminarium przyjmował, bez względu na stopień naukowy, tych tylko, którzy przeszli przez jego proseminarium. Należał Ingarden do filozofów uniwersalnych, do tych, którzy filozofię traktowali jako podstawową dyscyplinę dla wszystkich innych w dawnym wydziale filozoficznym, rozbitym wtedy na humanistyczny i matematyczno-przyrodniczy (od tego czasu rozbitcie poszło jeszcze dużo dalej). Od Ingardena otrzymaliśmy kiedyś bardzo instruktywną lekcję. Przeprowadził badanie czytelnictwa w zakładzie i stwierdził, że ogół studentów ogranicza się tylko do lektury podręczników logiki i historii filozofii, nie docierając do tych rewirów, w których tworzy się duch filozofii, a więc do dzieł klasyków i do współczesnych rozpraw. Jakże to pożyteczna lekcja, jakże godna naśladowania na wszystkich kierunkach studiów!...

Jeden z najwybitniejszych psychologów polskich, prof. Stefan Szuman, był z zamiłowania także estetykiem; obok zajęć z psychologii prowadził co roku seminarium wychowania estetycznego. Błogie to były czasy, w których, przyjeżdżając po wakacjach na początku nowego roku akademickiego, podchodziło się do tablicy ogłoszeń i wybierało się zajęcia odpowiadające zainteresowaniom. Przeczytawszy ogłoszenie o seminarium wychowania estetycznego, którego tematem całorocznym miała być liryka (a książkę Szumana *O kunszcie i istocie poezji lirycznej* świeżo przeczytałem), zgłosiłem się na to seminarium, które okazało się najbardziej urocze ze wszystkich, w jakich uczestniczyłem. Nie byłem w tym wyborze pierwszy i jedyny. Od czasów prof. Stefana Kołaczkowskiego,

nie żyjącego od wojny, poloniści w UJ zasilali szeregi seminarzystów Szumana. Silną stroną Kołaczkowskiego były „pogranicza” (estetyka, socjologia), na łamach „Marchołta” redagowanego przez Kołaczkowskiego zawiązała się współpraca z Szumanem.

Mówił Szuman bardzo cicho, trzeba było przybywać na kwadrans przed posiedzeniem, by zająć miejsce w jednym z pierwszych rzędów. Nie brakło w seminarium prawdziwych, szalenie instruktywnych, rozrywek. W r. 1948/1949 Leśmian, ceniony należycie przez Przybosia, przez Wykę czy przez Sandauera, był poetą stosunkowo mało znanym. Toteż mogła się udać rozrywka tego typu, że koleżanka nasza siedząca przy profesorze zaczęła czytać utwór nie znany nikomu z obecnych:

W zwiewnych nurtach kostrzewy na leśnej polanie,
Gdzie się las upodabnia...

i na słowo profesora „Stop” przerwała. Słuchacze na karteczkach dopełniali w drugim wersie sześć sylab z rymem do „polanie”. Pomysły były rozmaite, tylko nikt nie wpadł na to, że poeta dorymował „łące niespodzianie” i nie zamknął zdania w dwuwierszu. Dwa razy odgadywaliśmy bez powodzenia rym w dalszych partiach wspaniałego liryku: chodziło o dorymowanie „zieleń samą w sobie” i „w tę zieleń, w tę zieleń”. Otrzymaliśmy lekcję o rymowaniu doskonałym, niespodzianym, o takim, w którym używa się do tego celu wyrazów potrzebnych, ale nie wprowadzonych tylko dla rymu.

Formalnie byłem w UJ studentem filologii klasycznej i początkowo uczęszczałem na zajęcia prof. Ryszarda Gansińca. Zacierał granice między wykładami i seminariami: na seminariach wykladał, na wykładach odpytywał. W czasie jednego wykładu z dziejów religii hellenńskiej zwrócił się do mnie z pytaniem, bym orzekł, którzy uczeni mają rację: dowodzący, że Pallas Atene była najpierw Pallas, a potem Atene, czy dowodzący odwrotnie. Odpowiedziałem, że do zajęcia stanowiska trzeba mieć taką wiedzę, jaką mają wymienieni przez profesora uczeni. Ucieszył się, że „znalazł się jeden człowiek, który tak dobrze myśli o profesorach”.

W seminariach prof. Stanisława Pigionia brałem udział tylko dorywczo. Były bardzo liczne (nie stosowano podziału na grupy); nie były interesujące. Pigoń prowadził obok seminariów instruktywnie ćwiczenia z analizy wybranych utworów dla początkujących, na które też zająłem. Opieka nad pracami magisterskimi była bardzo dobra. Stosunek prof. Pigionia do studentów, ogólnie opiekuńczy (był przecież przez wiele lat seniorem burs studenckich, kuratorem „Bratniej Pomocy”, kuratorem Koła Polonistów, w bursie przy ul. Garbarskiej zwany „ojciec Pigoń”), oparty był na życzliwości, ale z pewnego dystansu. Dystans malał, gdy profesor widział rezultaty w rozwoju studenta. Uczył etyki w pracy naukowej, był wychowawcą.

Za pozwoleniem Pigionia studenci pierwszych lat, a więc i ja jako doktorant, mieli prawo uczęszczania na posiedzenia Komisji Historycznoliterackiej PAU, w której był przewodniczącym. Tu dane mi było poznać klasyczny przykład „krytyki współtworzącej” Kleinera. Wystąpił kiedyś dr X z referatem z zakresu romantyzmu, nie pozbawionym błędów, które i dla mnie były widoczne. Na sali byli trzej tak wielcy znawcy romantyzmu jak Kleiner, Pigoń i Leon Płoszewski. Wszyscy zabierali głos. Wypowiedź Kleinera, pierwsza, trwała około pół godziny. Zaczął słowami: „Wykład był nadzwyczajnie ciekawy, nadzwyczajnie interesujący, przynosił zupełnie nowe naświetlenie przedmiotu. Z radością witam tezę, o którą potraçałem w mojej monografii. Jednakże padło w referacie szereg sformułowań, które przy bliższym badaniu nie dadzą się utrzymać...” Następnie omówił owe „sformułowania”, nie zostawiając „suchej nitki”. Zakończył zdaniem: „Można by jeszcze te przykłady mnożyć, ale to tylko dlatego, że wykład był tak nadzwyczajnie ciekawy i pobudzający”.

Po moim „roku krakowskim” postanowiłem poznać inny jeszcze ośrodek uniwersytecki i inne biblioteki poza tymi, z których korzystałem w Krakowie: przede wszystkim Jagiellońską, ale także Czartoryskich i Polskiej Akademii Umiejętności. Myślałem o Wrocławiu, stanęło jednak na Warszawie. Tu znów, nie dostawszy posady nauczycielskiej w samej Stolicy, objąłem obowiązki nauczyciela w Liceum w Legionowie. Traktowałem to jako etap i przyjąłem warunki nienajlepsze: uczyłem w niższych klasach. Nie byłem prestiżowcem i nie byłoby to dotkliwie, gdyby wyższe klasy powierzone były osobie wyżej kwalifikowanej ode mnie. Tak jednak nie było. Pierwszego dnia pracy po akademii na rozpoczęcie roku odjechałem do Warszawy. Na dworcu kolejowym zaczęli mnie uczeń maturalnej klasy, zapytując, czy będę uczył w tej klasie. Odpowiedziałem, że nie. Usłyszałem „Szkoda”. Ukłonił się i odszedł. Dalszy ciąg rozmowy odbył się w drodze powrotnej z Warszawy, bo znów spotkaliśmy się. Zapytałem, dlaczego jest „szkoda”, iż nie będę go uczył. I... dowiedziałem się o rzeczach, które przekonały mnie, że miał rację. Klasa maturalna przewracała „góry, mosty”, by zmienić sytuację. Zachowywałem się milcząco; nie kopałem dołków pod koleżanką mimo jej ewidentnego braku kompetencji. Była chwila, gdy zmiana była mi zapowiedziana, ale... nie doszło do tego. W dalszym ciągu zachowywałem się milcząco, nie dochodziłem przyczyn. Myślę, że zdecydowała o cofnięciu decyzji moja postawa „ideologiczna”.

W Legionowie parokrotnie organizowałem akademie szkolne. Był to rok, w którym... przypomnijmy – naszą trójcę „wieszczów” ustawiano: Mickiewicz, Puszkina, Chopin. Zarządzono w szkole akademię ku czci Puszkina i dla dobra młodzieży podjąłem się wygłoszenia referatu, w którym omówiłem nie tylko osiągnięcia Puszkina (nb. świeżo przeżyłem w Krakowie *Eugeniusza Oniegina* w Teatrze Rapsodycznym), ale też uwypukliłem powiązania Mickiewicza z Puszkinem i ze środowiskiem

literackim w Rosji; te rzecz dobrze miałem w pamięci z wykładów J. Kleinera (a II tom *Mickiewicza* świeżo się ukazał). Deklamacje były w języku rosyjskim i polskim; niewielki procent młodzieży uczył się jeszcze wtedy rosyjskiego. Propozycji udziału w puszkiniowskiej imprezie gminnego oddziału ZMP nie przyjąłem. Co innego moja młodzież, co innego uroczystość publiczna organizowana przez zespół, do którego nie czułem sympatii. Zorganizowałem wycieczkę dwu klas do Krakowa, z której młodzież wróciła bardzo zadowolona. Współorganizowałem zakończenie roku; obok tańców folklorystycznych wyreżyserowanych przez nauczycielkę gimnastyki, p. Bohdziewiczową, wprowadziłem punkt: deklamacje we wszystkich językach, których się młodzież w różnych klasach liceum uczyła.

Przeżywalismy w r. 1949/1950 przełom i upolitycznienie szkół. Na konferencji dla nauczycieli w Warszawie jedna z urzędowych prelegentek zakomunikowała: „Sądzę, że nie ma nikogo na sali, kto byłby za apolitycznością szkoły”. Pięknie to z góry wiedziała. Dyrektor w Legionowie, z konieczności partyjny, między wierszami dawał do zrozumienia, że można myśleć, co się chce, ale trzeba naświetlać tak, jak władze od nas żądają. I tego gorliwie przestrzegał. Przychodziły okólniki. Rolę Żymierskiego zastąpił Rokossowski, zarządzo no przeprowadzenie o nim pogadanek, które trzeba było wpisywać jako temat lekcji, choć mogła nie wypełnić całej godziny lekcyjnej. „Pogadankę” zamieniłem w rozmowę: pytałem, co już na ten temat wiedzą. Poprawiałem gramatyczne i stylistyczne błędy uczniowskich wypowiedzi. Zakończyłem sformułowanie, że wiedzą, co trzeba, i przeszedłem do kursu. Gorzej było z urodzinami Stalina. Zarządzo no, by lekcja nie była mechanicznym życiorysem, ale godziną poświęconą uczeniu miłości ku Stalinowi. Poszedłem na impas bardzo głęboki; oświadczałem w klasie: „Z racji urodzin generalissimusa Stalina tematem dzisiejszej lekcji będą wiersze rewolucyjne Władysława Broniewskiego, autora *Słowa o Stalinie*”. Styk był, ale *Słowa o Stalinie* nie przeczytałem na lekcji. W szkolnej akademii ku czci Stalina nie zaproponowano mi na szczęście udziału. W styczniu 1950 r. wypadło mi „uczcić” Lenina. Na szczęście ukazała się broszura Lenina *O literaturze*. Nabyłem. Preczytałem i skomentowałem wyjątki.

W grudniu 1949 r. odbywał się w Uniwersytecie Warszawskim IV Zjazd Kół Polonistów. Nie opuściłem poprzednio żadnego: 1946 i 1947 Kraków, 1948 – Łódź. Postępowała ofensywa marksistowskiej metody, co mogłoby być zrozumiałe, bo dyskusje akademickie są zawsze instruktywne. Niedobrze, gdy odbywają się w atmosferze: „my” i „wy”; jedni ulepieni z lepszej gliny, inni z gorszej; jedni, którym wolno interpretować, bo myślą po marksistowsku, drudzy – wyeliminowani, bo myślą inaczej. Wszystkie cztery zjazdy, w których uczestniczyłem, otrzymywały sprawozdania w prasie jednostronne, przeinaczające rzeczywistość. Osoby nie będące wyznawcami marksizmu nie miały możliwości wypowiedzieć się w pełni ani prostować nieprawdziwych relacji. Jackowi Woźniakowskiemu,

reporterowi „Tygodnika Powszechnego”, skreślała cenzura bardzo ostrożne zdania. Nie było możliwości zaprzeczenia np. relacji mijającej się z prawdą, że strona niemarksistowska wykazywała absolutną bierność.

Ze zjazdu łódzkiego z 1948 r. pozostało mi w pamięci przybycie na salę delegacji robotniczej, oświadczenie przewodniczącego zebrania, że zjazd poprze interesy klasy robotniczej, i przemówienie towarzysza Blachy, nie-polonisty; mówił o robotnikach strajkujących we Francji, na których rzekomo składaliśmy się. Stoi mi przed oczyma taca chodząca od stołu do stołu; może 3–5% osób obecnych w dużej sali pałacu Poznańskich w Łodzi dało się nabrać na wpłacenie składki. Demagogię łatwo sobie uprzytomnić. Jakież był kurs naszego złotego do francuskiego franka w 1948 r.? Jaka była różnica standardu życiowego polskiej młodzieży akademickiej i robotników francuskich w tym czasie? Nie przekreśliło to wprowadzenia notatki w prasie w sprawozdaniach ze zjazdu, że młodzi poloniści zebrali pieniądze na rzecz robotników strajkujących we Francji.

Ze zjazdu warszawskiego w 1949 r. pamiętam własną polemikę ze Stefanem Żółkiewskim, który mając stopień magistra, świeżo został, z pominięciem osób doktoryzowanych i habilitowanych, zastępcą profesora w Uniwersytecie Warszawskim. Zaatakował on J. Kleinera o sformułowanie, że Mickiewicz dla wyrobienia stylu studiował Voltaire’a. Przypomniałem, że jest w monografii rozdział *Student-wolterianin*, że również w monografii Słowackiego były uwagi o związkach autora *Mindowego* z wolteranizmem. Przypomniałem i to także, że Voltaire, dziś dla nas klasyk wśród myślicieli, odbierał w latach młodości Mickiewicza hołdy jako klasyk wśród pisarzy. Zestawiłem passus w wypowiedzi prof. Żółkiewskiego z przytoczoną przy innej okazji na zjeździe wypowiedzią Słowackiego o „wieprzowości” *Pana Tadeusza* i przypomniałem odpowiednią oktawę w VIII pieśni Beniowskiego i fakt spalenia pierwszej redakcji *Mazepy* pod wpływem lektury epopei Mickiewicza. Zaapelowałem, by zarówno z tekstów wielkich poetów (Słowacki), jak i wielkich uczonych (Kleiner) nie wrywać wyrażen z szerszych kontekstów, bo sprawia to deformację obrazu.

W Uniwersytecie Warszawskim uczęszczałem w 1949/1950 r. na pewne zajęcia. Szczególnie utkwił mi w pamięci wspaniale prowadzony wykład *Stylistyki łacińskiej* prof. Adama Krokiewicza. Uczony o fenomenalnej wiedzy w zakresie filologii starożytnej i gramatyki języków antycznych prowadził stylistykę łacińską w formie wykładu, w którym nawiązywał kontakt ze słuchaczami, upewniał się, czy jest rozumiany, czy wszyscy korzystają. Nie można było nie nauczyć się u niego. U schyłku życia wydał podręcznik stylistyki wespół ze swą dawną asystantką, już wówczas docentem, Marią Pąkcińską. Gabinet profesora był swego rodzaju Tusculum, w którym nie można było przerywać mu pracy. Gdy przechodził przez salę czytelnianą, „idąc, kłaniał się damom [...] i młodzieży”

(starców nie było) i wtedy był uchwytny, sam zagadywał, interesował się tym, nad czym kto pracuje, szukał sposobności, by uczniom dopomóc.

Istniały wówczas w UW dwa oddzielne zakłady filologii klasycznej, bo były dwie katedry. Drugą zajmował prof. Kazimierz Kumaniecki, prezes Warszawskiego Koła Polskiego Towarzystwa Filologicznego, niebawem prezes Zarządu Głównego. Do tego zakładu udawałem się na posiedzenia PTF. Nie dane mi było uczestniczyć w seminarium prof. Wacława Borowego, gdyż uniemożliwiały mi to godziny lekcyjne w Legionowie. Bywałem tylko na posiedzeniach Wydziału w Towarzystwie Naukowym Warszawskim pod przewodnictwem prof. Zofii Szmydtowej, połączonych z posiedzeniami Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza i tam parokrotnie wysłuchałem znakomitych wypowiedzi tego uczonego¹⁴.

W dniu 15 grudnia 1949 r. odbyłem promocję doktorską w KUL, przedstawivszy dysertację pt. *Słowacki – epistolograf*. Zacząłem ją pod kierunkiem prof. Kleinera i marzyłem o tym, by to On, który przeprowadził mnie od ćwiczeń wstępnych poprzez wszystkie stopnie swych seminariów, był moim promotorem. Opuścił jednak już definitywnie KUL i, opierając się na jego recenzji z dysertacji, przeprowadzono *rigorosum* i promocję bez jego udziału. Jako promotor wystąpił Kawyn; egzaminował mnie z romantyzmu polskiego. Egzaminatorem z romantyzmu europejskiego był Jan Parandowski, z filologii klasycznej (wybrany przeze mnie przedmiot poboczny) Marian Plezia. Przewodniczył prozdiekan, historyk, prof. Aleksander Kossowski, bo prof. Parandowski był w tym czasie dziekanem.

Gdy w r. 1948 zdawałem egzamin magisterski, nie brałem ani godziny urlopu ze szkoły. Miałem lekcje w dniu zdawania magisterium. Na *rigorosum* doktorskie i na promocję zwolniłem się z Legionowa na dwa dni i po przyjeździe oświadczyłem dyrektorowi, że jestem doktorem. Jedna klasa „wywachała” od kogoś z grona nauczycielskiego, że otrzymałem ten tytuł i skandowała przy moim wejściu „vivat doctor”. Szelmy chciały mnie wziąć „pod bajer”, by lekcja przekształciła się w rozmówkę towarzyską. Odpowiedziałem początkowo na kilka rzeczowych pytań, po czym przeszedłem do lekcji, dawszy tylko jedną koncesję: w dniu dzisiejszym nie stawiam ocen niedostatecznych.

Skoro osiągnąłem wyższy stopień naukowy, uznałem, że mam za sobą etap, który sobie wyznaczyłem. Sam sobą kierowałem i planowo obrałem drogę nauczyciela szkoły średniej. Uważałem ten staż za ważniejszy niż asystentura od etapu zastępcy asystenta jeszcze na studiach, czyli od „noszenia dziennika za profesorem”, jak to się popularnie mówiło. Rozglądałem się za możliwością przejścia do pracy naukowej, którą mógłbym prowadzić albo będąc nauczycielem szkolnym w wielkim mieście albo – lepiej – pracownikiem uniwersytetu. W tym drugim wypadku wchodził w grę tylko KUL. Nadarzyła się okazja „pokazania się”

w szkole na terenie Warszawy: w Liceum im. Skłodowskiej-Curie na zmianie popołudniowej, co dało się pogodzić z moimi dojazdami z Legionowa.

Całe nauczycielstwo w Polsce zmuszano do dokształcania się „ideologicznego”. Zdałem jedno kolokwium z marksizmu, w r. 1950/1951 miało być drugie i następnie egzamin piśmienny i ustny. Zabierano nam czas na rzeczy nic nie mające wspólnego z nauczycielstwem. W Liceum im. Skłodowskiej-Curie w Warszawie „dokształcanie ideologiczne” prowadziła dr Adela Bornholzowa, wicedyrektor. Robiła to bardzo inteligentnie i uczciwie („Tak naucza Lenin, tak mówi Stalin”). Była to wartościowa siła nauczycielska, przeżywała lęk zamknięcia, gdyż mąż (znany mi z krótkiego kontaktu w Wyłkowyszkach na Litwie) nie wrócił z Anglii. W pewnej rozmowie z nią miałem możliwość wypowiedzieć się, że nauczyciel, który uczniom mówi nieprawdę, nie jest wart tego, by być nauczycielem. Dobrze jej zrobiła moja deklaracja, aczkolwiek ona granic uczciwości nie przekraczała, była osobą godną szacunku. Kiedyś jako uczeń straciłem szacunek do łacinnika-bla-gierzyny, który bujał, że marszałek Piłsudski zachwycał się Horacym.

Otrzymałszy propozycję starszej asystentury w KUL, nie starałem się o posadę nauczycielską w Warszawie na r. 1950/1951. Przyjmowałem stanowisko skromne, ale placówka, w której służbę się udawałem, była dziesięciokrotnie ważniejsza niż szkoła.

Dwa pożegnania były szczególnie miłe. W Liceum im. Skłodowskiej-Curie pożegnanie z jedną klasą, która wiele wrzawy narobiła w momencie mego przyścia. Ceniłem to, że była to klasa związana blisko z poprzednią wybitną nauczycielką, ale niesłuszne było przekonanie, że przychodzi do nich tyran. W klasie tej było kilka wybitnych uczennic i przy końcu roku dziewczęta (trzy najlepsze, obdarzone przeze mnie oceną bardzo dobrą na rocznym świadectwie) wyraziły w czasie ostatniej lekcji żal z powodu mego odejścia, a nie byłem zatrzymywany przez dyrekcję szkoły. Powiedziałem im odchodząc, że w klasie tak żywej i zainteresowanej materiałem nigdy nie wykonałem planu, a więc było dobrze, i za to im dziękuję. W uroczystości zakończenia roku w Legionowie pożegnał mnie bardzo ładnie dyrektor, odpowiedziałem krótką mową, zakończoną pierwszą strofą wiersza Słowackiego *Testament mój*.

Jaka była moja dydaktyka szkolna? – Niestety, nie przeprowadziłem nigdy matury; jedynie w Gimn. im. J. Zamoyskiego miałem dwa razy „małą maturę” w klasach o ustroju semestralnym. Nie mogę się poszczycić wychowaniem wybitnego polonisty, który dlatego się nim stał, że pobudziły go moje lekcje. Przez kilka miesięcy była moją uczennicą w Liceum im. Skłodowskiej-Curie w Warszawie Halina Janaszkówna (dziś prof. Janaszek-Ivanićkova), ale nie odegrałem zbyt wielkiej roli w jej edukacji. Nie mogę być takiego mniemania o sobie, jak pewna wybitna nauczycielka, z którą stykałem się w różnych momentach, będąca autorką pamiętnika o swej nauczycielskiej drodze, napisanego z tym przekonaniem,

że wszystkie jej chwyt i wszystkie decyzje pedagogiczne były słuszne. Tak nie było u mnie z całą pewnością. Nie jest możliwe by wykonywanie zawodu nauczycielskiego choćby przez kilka lat, jak w moim wypadku, upłynęło bez pomyłek i bez porażek. W rozwoju moim cztery lata nauczania w szkole były znakomitą praktyką. Jeden punkt widzenia sformułowany przeze mnie i wypowiediany w kontaktach z kolegami w nauczycielskim gronie mam prawo uznać za wynik własnych doświadczeń i za moje pedagogiczne prawidło. Spotykałem nauczycieli będących drapieżnymi wychowawcami, zgłaszających urojone pretensje, że krzywdzi się ich klasy, zazdrosnych, jeśli ktoś z grona choćby zwrócił uwagę ich wychowankom. Otóż, głosiłem zasadę, że każdy nauczyciel jest w jakimś sensie wychowawcą, gdy obcuje z młodzieżą, zaś wychowawca na lekcji w swojej klasie jest także nauczycielem.

Rozpocząłem w r. 1950 drogę wykładowcy uniwersyteckiego trwającą 42 lata (do 1992). Nie rozstałem się z uczelnią po przejściu na emeryturę; w pewnej dawce prowadziłem w niej zajęcia do 2003 r., obecnie – w jakiejś mierze – w innej uczelni. Polonistyka KUL przeszła wyraźną ewolucję po krótkotrwałym kryzysie w r. 1949/1950. Zysk w postaci kilku wielkich osobistości wymienionych na początku był chwilowy. Z końcem r. 1948/1949 utracił KUL prof. prof. Klei-nera i Milewskiego, z końcem r. 1949/1950 prof. prof. Kuraszkiwicza, Dłuską, Parandowskiego i Kawyna, a więc z początkiem 1950/1951 r. nie pozostał nikt z szóstki profesorów sterujących sekcją filologii polskiej przez kilka pierwszych lat po drugiej wojnie światowej. Na katedrę po J. Kleinerze powołano z początkiem 1949/1950 r. jako zastępcę profesora dra Feliksa Araszkiwicza, prowadzącego od 1946/1947 r. począwszy zajęcia z metodyki nauczania literatury polskiej. Z początkiem r. 1950/1951 katedrę po prof. Kawynie objął jako zastępca profesora dr Czesław Zgorzelski, katedrę teorii literatury także jako zastępca profesora dr Irena Sławińska. Obsada historycznoliteracka była prawie pełna i, mimo iż były to osoby zdobywające formalne kwalifikacje, naprawdę doskonała. To samo da się powiedzieć o jedynym językoznawcy w szeregach profesorskich, o drze Tadeuszu Brajerskim, który w r. 1950/1951 został po kilku latach asystentury i adiunktury zastępcą profesora. Różnica była ta tylko, że był w przeciwieństwie do trojga profesorów literatury sam; dwoił się i troił, ale zadania dydaktyczne wypełniał rzetelnie.

Wszystkich nas pochłaniała dydaktyka uniemożliwiająca intensywną twórczość naukową. O przyjęciu na studia w uniwersytetach państwowych decydował ZAMP, zaś w KUL ministerstwo w r. 1950 i 1951 nie wyznaczało limitów. Ten stan rzeczy spowodował ogromny napływ studentów z całej Polski do KUL. Było ich na I r. polonistyki w pierwszym i drugim roku mej asystentury 250–300. Sale wykładowe z trudem wytrzymały ten stan rzeczy, grupy ćwiczeniowe liczyły po 50–60 osób, co dla początkującego asystenta prowadzącego przede

wszystkim nauki pomocnicze historii literatury polskiej i w tym specjalizującego się było utrudnieniem ogromnym. Z inicjatywy prof. Zgorzelskiego polonistyka pozyskała bibliotekę po prof. Wacławie Borowym¹⁵, niebawem po Ignacym Chrzanowskim; jedna i druga stanowiła wielką pomoc dla potrzeb polonistyki kształcącej tak liczne rzesze studentów.

A trzeba było się doksztalać, trzeba było publikować. Dorywczo uczestniczyłem, już jako pracownik naukowy, w różnych latach w zajęciach prof. prof. Zgorzelskiego, Sławińskiej, w seminarium z historii filozofii prof. Stefana Swieżawskiego, w zajęciach z paleografii ks. prof. Mariana Kurdziałka, także w cyklach wygłaszanych przez pisarzy. Przesłuchałem cykl wykładów Antoniego Gołubiewa z zakresu dziennikarstwa w ramach zaprowadzonej, niestety tylko w jednym roku, specjalizacji edytorskiej i cykl wykładów Jerzego Zawieyskiego z historii teatru, korespondujący z seminarium prof. Sławińskiej. Po raz ostatni byłem licealnym nauczycielem, ucząc języka polskiego w jednej klasie Liceum Biskupiego w Lublinie (1953/1954) w związku z prowadzeniem w KUL ćwiczeń z metodyki nauczania języka polskiego w czterech równoległych grupach.

Publikowałem to i owo. Jednakże wobec poznawania nowoczesnych metod badawczych pogłębił się dystans w stosunku do *iuweniliów*. Nie ogłosiłem w całości dysertacji doktorskiej. Mam raczej inne poczucie: profesorom, którzy ją zbyt łagodnie ocenili, wypłaciłem dług pierwszą książką, *Juliusz Słowacki we wspomnieniach współczesnych* (1956). Książka ta, jak również „antologia poetycka” *Adam Mickiewicz w poezji polskiej i obcej* (1961), obok drobnych rozpraw i miscellaneów, były rezultatem mej pracy nad romantyzmem, gdy ćwiczenia z nauk pomocniczych historii literatury polskiej, prowadzone przez wiele lat, zaowocowały podręcznikiem uniwersyteckim *Warsztat bibliograficzny historia literatury polskiej* (1957 i wznowienia). Książki moje nie zawsze spotykały się z życzliwym przyjęciem. Powtarzałem za mym umiłowanym poetą: „[...] nie zachęcony pochwałami, nie zabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze połknęła”. I pisałem, nie ustawałem w pracy.

Lata 1950–1956 były wyraźnie pierwszym etapem mej pracy uniwersyteckiej. W r. 1956/1957 z lizski przeobraziłem się w poczwarkę. Pierwszy etap dostarczył wskazówek na dalszą drogę: terminowałem. Szczęśliwie się stało, że wykład kursowy z wielkiego romantyzmu objąłem dopiero w 1955/1956 r., a więc w szóstym roku pracy w uniwersytecie; do tego czasu prowadziłem wyłącznie ćwiczenia. Nie jest dobrze, gdy pracownik uniwersytecki otrzymuje pewne odpowiedzialne zajęcia zbyt wcześnie. Poza zajęciami udzielałem się w towarzystwach naukowych. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza rozpoczęło akcję odczytów w terenie, głównie w szkołach. Ileż to szkół dane mi było odwiedzić w tych latach: Chełm, Zamość, Włodawa, Tomaszów Lubelski, Turobin, Wysokie, Zaklików, Puławy, Nałęczów, Radoryż, Parczew, Biała Podlaska...

Uczestniczyłem w zjeździe Towarzystwa w Rzeszowie (1956), w momencie, w którym zaczął się nowy, owocny, etap pracy. Udzielałem się w Kole Lubelskim Polskiego Towarzystwa Filologicznego, będąc przez jedną kadencję, trzyletnią, sekretarzem Koła przy bardzo aktywnej przewodniczącej, dr Janinie Pliszczyńskiej, mianowanej w 1956 r. docentem. Z odczytami przyjeżdżali do PTF prof. prof. Kazimierz Kumaniecki, Adam Krokiewicz, Ryszard Gansiniec, Wiktor Steffen, doc. Władysław Madyda, dr Mieczysław Brożek, dr Jerzy Łanowski (później profesorowie) i inni. *Con amore* włączyłem się do prac Towarzystwa Naukowego KUL jako zastępca sekretarza Wydziału Filologicznego.

Z początkiem 1956/1957 r. zaistniała w kadrze polonistycznej luka. Odszedł prof. Juliusz Nowak-Dłużewski, który w l. 1953–1956 dojeżdżał z wykładami i seminariami z literatury staropolskiej. Zlecono mi ową lukę wypełnić. Nie podjąłbym się tego, gdyby nie to, że nieco wcześniej zająłem się przekładem i opracowaniem Starowolskiego *Hekatontas*. (Tę rzecz wydałem dopiero w 1970 r. z wstępem Franciszka Bielaka). Spadł na mnie wykład z tej epoki wraz z egzaminami. W sukurs przyszły mi konferencje staropolskie IBL PAN w Warszawie, organizowane co dwa tygodnie przez dra Juliana Lewańskiego (później profesora). Jako stały uczestnik konferencji poznałem kolegów po fachu, zaczynałem być *au courant* tego, co dzieje się w staropolszczyźnie. Miałem wśród kolegów – „staropolaków” jednego prawdziwego przewodnika naukowego w osobie prof. Tadeusza Ulewicza z UJ; w zakresie nauk pomocniczych historii literatury polskiej analogiczną rolę odegrał dr, później prof., Zbigniew Jerzy Nowak w UŚI. Konsultacjom tych dwu przyjaciół zawdzięczam bardzo wiele. Od wiosny 1957 r. byłem zastępcą profesora bez katedry (stopień przejściowy, zamieniony później na starszego wykładowcę), wiosną 1958 r. Centralna Komisja Kwalifikacyjna dla Pracowników Nauki przyznała mi stopień docenta.

Po śmierci Juliusza Kleintera (1957) prof. Araszkievicz podjął inicjatywę zbiorowej księgi o nim. Współpracowałem jako zastępca redaktora. Księga wyszła w 1961 r. Zainicjowałem *Kronikę życia i działalności*; pomysł ten był naśladowany. M.in. zwrócono się właśnie do mnie, gdy po śmierci Stanisława Pignonia redagowano w Krakowie zbiorową księgę o nim. Ukazała się w 1972 r. A gdy po latach analogiczną księgę poświęcono Kazimierzowi Wyce, padło w recenzji zapytanie: dlaczego bez kroniki życia i działalności? Jako badacz rękopisów Kleintera zdecydowałem się na zredagowanie tomu *Studia inedita* (Lublin 1964); ułożyła się księga o czterech poetach, nad którymi J. Kleiner całe życie pracował najwięcej (Krasicki, Mickiewicz, Krasiński, Słowacki). Nie udało się w tym tomie wydać wykładów o literaturze porozbiorowej przedmickiewiczowskiej; wyszły w tomie osobnym pt. *Sentymentalizm i Preromantyzm* [...] – (Kraków 1975). Drobiazgi z warsztatu J. Kleintera ogłosiłem nadto przy kilku okazjach. Odnalazłem nową dziedzinę, którą zainteresowałem się: historię polonistyki na

tle dziejów humanistyki polskiej. Prawie zawsze pamiętałem o tym, by artykułem nekrologowym pożegnać mych profesorów, kolegów, zdarzało mi się, że nawet – uczniów.

Odnalazłem również inną dziedzinę umiłowaną. Filologiem klasycznym byłem niewątpliwie mniej zaawansowanym niż historykiem literatury polskiej, ale zdobyłem pogranicze: stałem się neolatynistą, co dla badacza literatury staropolskiej jest cenne. Tej domenie służyłem jako dydaktyk. Prowadząc literaturę staropolską w latach, w których minimalny procent młodzieży polonistycznej znała łacinę, troszczyłem się o to, by moi uczniowie nie tylko rozumieli co to jest *De republica emendanda*, ale także, by nie skracali dłuższego nieco tytułu Hussowskiego poematu o żubrze do postaci *Carmen de statura* i nie tłumaczyli, że „statura” to żubr. Dbałem o to, by na kilku przynajmniej godzinach ćwiczeniowych zetknęli się z pewnymi fragmentami prozy i poezji łacińskiej w Polsce dawnych wieków. Kolega uniwersytecki, Tadeusz Domański, umożliwił mi wyjazd do Paryża na sześć tygodni w czasie wakacji 1957 r. Pracowałem nad rękopisami łacińskimi stanowiącymi polonica, odnalezionymi w Bibliotheque Nationale. Po powrocie ogłosiłem komunikat o znaleziskach w „Zeszytach Naukowych KUL” (1958). Znaleziska zacząłem ogłaszać: Louis Le Roy dzieło *De regno Poloniae*, list Zbigniewa Oleśnickiego o przyjęciu przez Władysława I Jagiellończyka, późniejszego Warneńczyka, korony węgierskiej (1440). Zaproszony w 1966 r. do Brna na zjazd Eirene, stowarzyszenia filologów klasycznych krajów demokracji ludowych (1966), wygłosiłem referat o najważniejszym znalezisku, o poemacie Wacława Clemensa, Czecha, *Lechiados libri IV* (pierwsza połowa XVII w.). Zwróciło to uwagę Józefa IJsewijnja z Lowanium, który w 1971 r. organizował pierwszy kongres neolatynistów, i zaprosił mnie z referatem. Tak zaczęła się moja neolatynistyczna działalność poza Polską.

Pierwszych magistrów wypromowałem w KUL w 1961 r. Osiągnięcia moje dydaktyczne nie mogą być mierzone z sukcesami prof. prof. Sławińskiej i Zgorzelskiego. Ale w pracy ze studentami doskonale przygotowanymi mogę się poszczycić tym, że ogłoszona została drukiem w całości praca magisterska o Włodzimierza Michała Pado *Modlitwa w dziełach Mikołaja Reja*¹⁶, że zadbałem o publikację pracy magisterskiej mej nieco młodszej koleżanki, Marii Nogowej, która u mnie już jako u docenta kończyła studia przerwane przed laty, bez taryfy ulgowej. Była, jak się sama określiła, „dziecięciem Fredreum” przemyskiego i praca, której druk był dla niej niespodzianką, poświęcona była dziejom niepospolitego zjawiska, jakim jest teatr amatorski, jedyny w Polsce, o tyloletniej tradycji¹⁷. Ona zbliżyła mnie do bardzo interesującego środowiska intelektualnego w pięknym prastarym Przemyślu.

Już jako docent poczułem się studentem: przez jeden semestr uczestniczyłem w seminarium filologii germańskiej doc. dr Zofii Ciechanowskiej, która prowadziła

Quellenkunde. Wiedzę uzyskaną w tym zakresie wykorzystałem w *Warsztacie bibliograficznym literatur obcych* (1988).

Z końcem roku 1963/1964 podjąłem trudną i smutną dla mnie decyzję opuszczenia Uczelni, która mnie wychowała i której dałem 14 lat pracy. Myślałem o tym, że nie nastąpi to nigdy. Stało się jednak inaczej wskutek okoliczności, których nie mogłem zmienić ani im zapobiec. Nie byłem pierwszy ani ostatni, który taką decyzję podjął, chociaż głęboko przeżywałem ten dramat moralny. Ani wtedy, ani nigdy potem, nie mogłem mieć wątpliwości, że inaczej postąpić nie mogłem. Opuszczając KUL, wyraziłem się w pożegnaniu Rady Wydziału, iż pragnę w dalszym ciągu oddawać Uczelni usługi w granicach moich możliwości. Jedną z owych usług była kontynuacja zarysu *Nurt katolicki w literaturze polskiej* dla zbiorowej *Księgi Tysiąclecia Katolicyzmu w Polsce* (druk. w t. 2 – Lublin 1969). Po latach miałem satysfakcję w tym, że osobom, których nienawiści doznałem, nie odpłaciłem nienawiścią. Ale szczegóły tej sprawy przemilczam. Przykre było rozstanie się z dobrymi kolegami: z Marią Jasińską [-Wojtkowską] i ze Stefanem Sawickim.

Opuszczając Lublin i KUL, nie szukałem stanowiska lepszego dla siebie; przyjąłem etat w zbiorowej katedrze literatury polskiej w UŁ, dokąd mnie wprowadził prof. Kawyn. Przeszedłem tu, podobnie jak w Lublinie, i dobre i złe. Szczegóły znowu przemilczam i pragnę sprawę odpersonalizować. Przyszłość – korektorka wieczna wydobędzie ten szczegół, łatwy do wychwycenia dla historyka polonistyki, jak wyglądały moje nominacje profesorskie (1974 – profesura nadzwyczajna, 1981 – zwyczajna) na tle porównawczym w środowisku, w którym pracowałem. Wyszedszy ze środowiska, w którym o nauce i o nauczaniu decydowali profesorowie, nie mogłem się pogodzić wewnętrznie z ustrojem, w którym nawet w zebraniu profesorskiej komisji paroosobowej musiał uczestniczyć młody wiekiem delegat partii. Stał mi w pamięci fakt odebrania głosu przez prof. Zenona Klemensiewicza w UJ „zetempowcowi”, atakującemu w nieprzyzwoity sposób prof. Pigonia. W środowisku łódzkim nie spotkałem nikogo na miarę Klemensiewicza. Każdemu młodzieńcowi buńczucznemu wolno było wypowiedzieć wszystko, a nawet odbył się sąd nade mną w partii, z wypowiedziami tak mądrymi jak: „Ministrantem w jego chórze nie będę”. Gdy poprzednio stykałem się z mymi rówieśnikami zetempowcami i partyjnymi, byli to marksści w sensie doktrynalnym: Henryk Markiewicz, Tadeusz Drewnowski, Maria Żmigrodzka, Maria Janionówna. Patronowali im: Stefan Żółkiewski, Jan Kott. Nie przychodziło mi do głowy, że można być partyjnym nie mającym pojęcia o marksizmie i podpisującym się pod sztandarami tylko po to, by, chodząc z kafejki do kafejki, uradzać, jak który profesor kichnął. Z pewnością niejeden z młodzieży partyjnej UŁ żałował po latach tego, że zamiast napisać porządne prace i zdobywać wyższe stopnie naukowe, trawił czas na „rozróbach” personalnych.

Miałem trochę satysfakcji wtedy, gdy poniektórzy przychodzili do mnie po latach, meldując: „Rzuciłem [-am] legitymację partyjną”. Odpowiadałem: „A ja nie rzuciłem...”

Przez cały czas, kiedy wypadło mi w nowym środowisku znosić udręki (utwierdziłem się w tym, jak genialna jest kreacja Pecksniffa dickensowskiego), myślałem o tym, że nie jestem tu tak zaangażowany uczuciowo jak w środowisku poprzednim i zjawisko usuwania mnie z różnych terenów działalności wpływa tylko na to, że traci na tym uczelnia, zyskuje mój dorobek naukowy. A przecież oliwa z czasem wypływa...

Smutne dla mnie to także, że seminaria rzadko dawały mi tyle zadowolenia, ile miałem w pracy dydaktycznej w KUL. Zdarzało się, że seminarium się udało. Gdy z jedną grupą „wymagistrzonych” żegnałem się, powiedziałem im słowami Napoleona wygłoszonymi po bitwie pod Austerlitz: „Soldats, je suis content de vous”. Częściej, niestety, czułem się korepetytorem od prac magisterskich poprawiającym z niedostatecznego na ledwie dostateczne. Bolączką stało się i to, że, przeszedłszy na emeryturę, nie zostawiłem w zakresie literatury staropolskiej następcy na katedrze, którą objąłem z wieloletnim opóźnieniem. Do habilitacji, zresztą doskonałej, doszła jedna tylko z mych uczennic, Maria Wichowa, ale... w siedem lat po moim przejściu na emeryturę, gdy staropolszczyznę w UŁ sterował i steruje nadal drugi już z kolei profesor przybyły spoza Łodzi. Biorąc udział w egzaminach rocznych i magisterskich, w recenzowaniu prac doktorskich i habilitacyjnych nie tylko w UŁ, zetknąłem się ze zjawiskiem rzeczy niedociągniętych do poziomu. Nierzadko stykałem się ze zjawiskiem wykładów, które w niczym nie przypominały prawdziwego uniwersytetu.

Udzielałem się w dalszym ciągu społecznie: w Towarzystwie Literackim im. Adama Mickiewicza, w Polskim Towarzystwie Filologicznym. Doszły inne. W Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Przemyślu rozpocząłem w 1970 r. współpracę z „Rocznikiem Przemyskiem” (od t. 13/14). Słałem artykuły do każdego prawie tomu, recenzowałem wydawniczo prace historycznoliterackie innych autorów. Gdy „Rocznik” rozpadł się na zeszyty branżowe, objąłem redakcję zeszytu *Literatura i Język*, którą kontynuuję. Zamojskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk przyjęło mnie w poczet członków i powierzyło przewodniczenie Radzie Redakcyjnej „Rocznika Zamojskiego”, który niestety zamarł po trzech tomach. Oczywiście, oddawałem usługi Łódzkiemu Towarzystwu Naukowemu, w którym już od lat przeszło dwudziestu przewodniczę Wydziałowi I (filologia, filozofia i nauki pokrewne).

W pewnych latach najczęściej odwiedzałem ze zrozumiałych względów Przemyśl. Wielokrotnie przyjeżdżałem do Rzeszowa i tu w osobie przewodniczącej Oddziału TLiAM, niezmiernie oddanej sprawie, świetnie przygotowanej studiami w UJ, mgr Czesławie Szeteli, odnalazłem „koleżankę z wyboru”. Częste przyjazdy do Częstochowy spowodowały w konsekwencji przyjęcie zajęć w świeżo

powstałej Wyższej Szkole Pedagogicznej w ramach połowy etatu (1975–1984). Jako prelegent przemierzyłem chyba całą Polskę w powojennych granicach. Wygłaszałem przy różnych okazjach odczyty w wielu miastach poza województwem lubelskim, o czym już było. Jarosław, Jasło, Tarnów, Ulanów, Sandomierz, Tarnów, Kraków, Katowice, Cieszyn. Oświęcim, Sosnowiec, Opole, Wrocław, Zielona Góra, Szczecin, Koszalin, Słupsk, Poznań, Inowrocław, Bydgoszcz, Toruń, Gdańsk, Elbląg, Ostróda, Olsztyn, Łomża, Białystok, Grójec, Garwolin – to lista niemała, i, być może, niepełna. Częste były wyjazdy z odczytami do miast położonych blisko Łodzi: Piotrków, Pabianice, Tomaszów Mazowiecki, Sieradz, Kalisz, Kutno. Pewne wizyty wymienić trzeba szczególnie: sesje w Bieczu poświęcone Kromerowi i Potockiemu, w Rawie Mazowieckiej poświęcone Paskowi i Kitowiczowi, w Kielcach – Rejowi i Kochanowskiemu, w Radomiu – Kochanowskiemu i Fryczowi Modrzewskiemu, w Oświęcimiu – Górnickiemu, w Olsztynie – Hozjuszowi i Kromerowi. Występ w Bytomiu odbył się w cyklu „wieczorów bytomskich”, organizowanych przez prof. Władysława Studenckiego, z którym kolegowałem w WSP w Częstochowie.

Jako badacz literatury staropolskiej zajmowałem się najpierw przede wszystkim pisarzami złotego wieku (Rej, szczególnie *Żwierzyniec*; Orzechowski; Frycz Modrzewski; Kromer; Kochanowski). Obok kilku prac większych przemawiałem w rozprawach i studiach drobnych, których bardzo długo nie mogłem zebrać w tomach, mimo iż o to upominali się koledzy z różnych ośrodków obdarzani nadbitkami. Udało mi się dopiero w ostatnim dziesiątku lat wydać kilka tomów studiów rozproszonych: *Odrodzenie. Czasy. Ludzie. Książki* (1991); *W świecie barokowym* (1992); *Wieki średnie i wiek renesansowy w Polsce. Studia* (1996); *Od zarania dziejów literatury polskiej po wiek XX* (2003). Wraz z koleżankami z Katedry Literatury Staropolskiej i Nauk Pomocniczych UŁ wydałem tom *Pod cieniem Hippeum* (1995) dla uczczenia czterechsetnej rocznicy założenia Akademii Zamojskiej.

W zakresie nauk pomocniczych i wstępu do nauki o literaturze opracowałem podręczniki uniwersyteckie: *Warsztat bibliograficzny historyka literatury polskiej* (²1971, ³1983); uzupełnieniem 3 wydania jest *Warsztat bibliograficzny historyka literatur obcych* (1988). Rozumiem doskonale, że ta praca mogłaby dopiero w dziesiątym wydaniu być naprawdę dobra, a powinna być wznawiana i uzupełniana co kilka lat. Ale nie jestem już w stanie myśleć o dalszych wydaniach; siły ludzkie kończą się. Podręcznik edytorstwa, *Praca wydawcy naukowego* (1979, ²1992) pomyślany jest nie jako konkurencja dla świetnej książki Konrada Górskiego *Sztuka edytorska* (1956, ²pt. *Tekstologia i edytorstwo dzieł literackich*, 1974), na której znaczenie wskazywałem w recenzjach, ile uprzyśpieszeniem materii tam zawartej z myślą o adresacie początkującym, o studencie I roku filologii polskiej. Również dla wstępujących w szranki uniwersyteckie

napiisałem broszurę *O uniwersyteckim studium dyscyplin filologicznych* (1993), a przemyślenia z wykładu *Wstęp do nauki o literaturze*, prowadzonego w UŁ, i z seminariów uniwersyteckich wyraz znalazły w rozprawie przedstawiającej zarys dziejów monografistyki historycznoliterackiej w Polsce, którą obok trzech prac o charakterze historycznym wcieliłem do tomu *Z dziejów polskiej nauki o literaturze w wieku XIX i XX. Cztery rozprawy* (1997). Z wykładów o literaturze dawnych wieków, wygłaszanych przez wiele lat, wyrósł tom *Zarys dziejów literatury staropolskiej* (1993), jeszcze jeden podręcznik uniwersytecki.

W ostatnich dziesiątkach lat stałem się historykiem polskiej nauki o literaturze. Jak się rzekło, zrobiłem wcześniej to i owo w zakresie kultu Juliusza Klei-nera i Stanisława Pigonia. Konterfekty uczonych mnożyły się na moim warsztacie z racji śmierci, jubileuszu... Wydobywałem nowe materiały archiwalne. Jeszcze w latach lubelskich zajmowałem się korespondencją naukową Hieronima Łopacińskiego; ogłaszałem zespoły listów i rozprawki oparte o nie. Udało mi się w „Roczniku Przemyskim” (1983, t. 22/23) wprowadzić cykl ku czci J. Klei-nera i cykl ku czci St. Pigonia. Wychodziłem z założenia, że znaczna część nauczycieli-polonistów środowiska to uczniowie jednego lub drugiego. W cyklu „pigoniowskim” nadałem kształt drukowany księdze złożonej jubilatowi w masy-nopisie w 1951 r. Uznałem za stosowne przypomnieć na łamach „Rocznika” Zenona Klemensiewicza, tym bardziej, że był członkiem honorowym przemyskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przypomniałem i Władysława Tarnawskiego, autentycznego przemyslanina, publikując jego *inedita*. Ostatnio w „Roczniku Przemyskim” pisze o Tarnawskim młody zdolny wychowanek liceum w Prze-myślu, kończący historię na UJ. Mając w pamięci zdanie J. Klei-nera o Bronisławie Chlebowskim, iż był częścią Warszawy, która jest częścią Polski, zatroszczyłem się o to, by w *Sylwetkach warszawskich* wydać studium monograficzne o nim (1986). Marzyłem o napisaniu monografii wykładów paryskich Mickie-wicza. Trzebaby jednak dla tego celu posiedzieć chyba z rok w Paryżu, by zro-zumieć wszystkie najdrobniejsze finezje myśli poety, rodzącej się w stolicy Francji. To nie było mi dane. Ale dwa pytania postawiłem sobie i spróbowałem odpowiedzieć na nie. Usiłowałem dowieść, co we Francji wiedziano o Polsce i o polskiej literaturze w momencie, w którym Mickiewicz obejmował katedrę w Collège de France. Omówiłem problem, jak ujmowali literaturę polską na-stępca Mickiewicza na katedrze. Z tych rozważań wyrosła książka *W kręgu za-interesowań literaturą polską we Francji w XIX i XX w.* (1978). Poza Paryżem, poza Collège de France, jeden ośrodek, w którym za granicą wykładano o lite-raturze polskiej zainteresował mnie: Fryburg szwajcarski. W wyniku trzytygo-dniowego pobytu w tym mieście powstała książka *Zarys dziejów katedry ję-zyków i literatur słowiańskich w Uniwersytecie Fryburskim* (1984). W dużej książce omówiłem „dzieje wiedzy o literaturze polskiej do końca XVIII wieku”

(1984). Trud wieloletni musiałem na żądanie wydawnictwa skrócić. Książka przeleżała się w wydawnictwie i, podając do druku po latach, nie zdołałem uwzględnić najnowszych prac historycznego środowiska toruńskiego nad czasopiśmiennictwem „uczonym” ziem pruskich w pierwszej połowie XVIII wieku, co słusznie zostało mi wytknięte.

Śledząc dorobek historiografii literackiej w Polsce, witałem z radością coraz liczniejsze prace historyczne o dziejach polonistyki, o dziejach badań historyczno-literackich w różnych środowiskach, szczególnie najliczniejsze i najobszerniejsze poświęcone środowisku krakowskiemu i warszawskiemu. Zapomnienie Lwowa i Wilna wydało się dotkliwą luką. W pamięci miałem wydarzenia mej młodości. Melchior Wańkowicz dziełem *Na tropach Smętka* przesunął na północ naszą granicę z Niemcami, która Prusy Wschodnie oddzielała od Polski. Znacznie głębsza książka Józefa Kisielewskiego *Ziemia gromadzi prochy* przesunęła daleko na zachód naszą granicę, tak fatalną pod względem strategicznym przed 1939 r. Wzruszające były dla mnie, maturzysty z 1939 r., dwie sceny: jedna zapamiętana z autopsji – kongres młodzieżowy w Lublinie na parę miesięcy przed wojną, już po historycznej mowie Becka, zakończony okrzykiem: „Niech żyją polskie Prusy Wschodnie”, druga – poznana już w wiele lat po drugiej wojnie światowej, z lektury: profesorowie UJ wywożeni w listopadzie 1939 r. w głąb Niemiec do obozu koncentracyjnego przejeżdżali przez Odrę i wówczas toczyła się między nimi dyskusja, czy po skończonej wojnie Polska otrzyma cały Śląsk, a więc i lewy brzeg Odry, czy tylko brzeg prawy. Postanowiłem przypomnieć, że na ziemiach wschodnich byliśmy, że zostawiliśmy trwałe ślady kultury narodowej.

Zaczął się od *Zarysu dziejów katedr historii literatury polskiej w Uniwersytecie Lwowskim*¹⁸. Ale postanowiłem następnie rozszerzyć ów *Zarys* do rozmiarów książki, co prawda obejmującej konterfekty wybranych uczonych, *Sylwetki lwowskich historyków literatury* (1997). Tej pracy towarzyszyła analogiczna, *Sylwetki wileńskich historyków literatury* (1997). Na tym drugim odcinku współpracuję z kol. Janem Malinowskim, redaktorem „Wileńskich Rozmaitości”, organem Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, wydawanego w Bydgoszczy. Zamknięciem cyklu są *Sylwetki krzemienieckich historyków literatury* opublikowane w tomie IV „Biesiady Krzemienieckiej” (2003). Nie udało się jak dotąd synowi Ziemi Lubelskiej wydać tomu analogicznego poświęconego uczonym lubelskim, który jest już prawie gotowy. Sylwetki badaczy książki polskiej stanowią część drugą tomu *Ludzie książki* (2000).

Przewodniczyłem przez szereg lat Komisji do badania dziejów polskiej nauki o literaturze przy Komitecie Nauk o Literaturze PAN, redaguję *Słownik badaczy literatury polskiej*, wydawany „systemem holenderskim” (tomy od A do Z w miarę napływania haseł) – (dotąd tomy I–II, 1994–1998, t. III – 2000, t. IV – 2001, t. V – 2002, t. VI – 2003, t. VII – w fazie zbierania materiału.

Juliusz Kleiner wypowiedział się w mowie jubileuszowej, że czuje się „sługą wielkości”. Badacz, zajmujący się nie tylko twórcami, ale i historykami literatury staje się sługą sług wielkości. Owych „sług wielkości” byłem nie tylko biografem, ale i edytorem prac. W Bibliotece Filologii Polskiej pod redakcją Tadeusza Ulewicza wydałem tom studiów rozproszonych Wilhelma Bruchnalskiego, dając mu tytuł *Między średniowieczem a romantyzmem* (1975); ten prawdziwie wielki uczoney nie ogłosił za życia nigdy tomu studiów rozproszonych. Wydałem następnie tom Stanisława Łempickiego *Wiek złoty i czasy romantyzmu w Polsce* (1992). Ta edycja sprawiła mi przyjemność spełnionego obowiązku. Prace uczonego nie zbutwiały; czyta się je jak świeże. Tom pomieścił zarówno te, którym autor nadał kształt rozprawy, drukując np. w „Pamiętniku Literackim” i opatrząc przypisami, jak też i ogłoszone przez uczonego w codziennej prasie, pozbawione przypisów, dokumentowane cytatami w polskim przekładzie autora bez lokalizacji. Trzeba było przejrzeć np. gruby tom dzieł Sigonia, by odnaleźć łaciński tekst cytatu zapisanego po polsku. Ale tę „igłę w stogu siana” dało się odnaleźć. Trudniejsze było zlokalizowanie i podanie oryginału cytatu z Lutry. To dało się uzyskać przy pomocy niemieckiego teologa protestanckiego, który otrzymał mój przekład z przekładu...

Wydawnictwo Lubelskie zwróciło się do mnie z propozycją edytorskiego opracowania monografii trzech wielkich romantyków napisanych przez Juliusza Kleinera. Oczywiście wyeliminowany został z naszych pertraktacji Mickiewicz, gdyż reedycję zamierzyło i realizuje Towarzystwo Naukowe KUL, którego nakładem dzieło ukazało się po raz pierwszy. Zaproponowałem zamiast monografii Krasińskiego z 1912 r. tom studiów o poecie i zreagowałem tom. Opracowałem edytorsko monografię Słowackiego. Gdy ukończyłem trud wieloletni, wydawnictwo zbankrutowało... Po latach udało się tom o Krasińskim wydać w PWN (1997) a monografię Słowackiego w Wydawnictwie Literackim w Roku Słowackiego (1999). W 2003 r. zakończyłem przygotowanie Chrzanowskiego *Pism wybranych*; opracowywał edycję, ale jej nie ukończył, przyjaciel mój, Zbigniew Jerzy Nowak (1919–1993).

Rozproszone tomy studiów historycznoliterackich obejmują, jak się rzekło, głównie prace z zakresu literatury staropolskiej. Romantyzm, dawniej epoka umiłowana, stał się dziedziną martwą. Ale od czasu do czasu odzywałem się także jako badacz romantyzmu, a gdy w r. 1998 przypadła dwusetna rocznica urodzin Mickiewicza, w r. 1999 setna pięćdziesiąta rocznica śmierci i setna dziewięćdziesiąta urodzin Słowackiego, także setna czterdziesta, nie przypomniana zresztą, rocznica śmierci Krasińskiego, zebrałem moje rozproszone „studia o twórczości i recepcji czterech wielkich romantyków” (oczywiście z Norwidem) w tomie *W świecie olbrzymów* (1998). Rok Reymontowski (2000) spowodował złożenie tomu *Reymont i inni* (2002). Najobszerniejszy tom moich studiów

rozproszonych, *Polska w Europie* (2001), poświęcony kontaktom kultury polskiej z zagranicą na przestrzeni dziejów narodowych, wyrósł z chęci wykazania, że hasło „wchodzimy do Europy”, wypowiedziane tak często, jest nieporozumieniem. Jesteśmy w Europie od tysiąca lat...

Jak się już rzekło, domeną moją jako badacza literatury staropolskiej stała się od 1957 r. neolatynistyka. Stało się to szczęśliwie z dwu powodów: osobistego i narodowego. Osobistym sukcesem były częste, choć krótkie, wyjazdy zagraniczne. Długo nie mogłem się dokleić do ekipy wyjeżdżających na zachód. Marzyłem o zagranicznych studiach, co nie było mi dane, ale na kongresy międzynarodowe, zwłaszcza neolatynistyczne, udało mi się wyjeżdżać. Uczestniczyłem w jedenastu kongresach neolatynistycznych i w trzech latynistycznych-mediewistycznych. A bywałem i na kongresach poświęconych retoryce, na latynistycznych, na których trzeba było wygłaszać referaty nie w języku niemieckim lub francuskim, ale łacińskim.

Znaczenie narodowe mego udziału w kongresach neolatynistycznych było niemałe. Zrozumiałem, że historycy literatury polskiej popełniali od samego początku, tj. od doby narodzin nowoczesnej nauki o literaturze (druga połowa XIX w.), zasadniczy błąd spowodowany tym, iż nasza historiografia literacka wyrosła z patriotyzmu ukształtowanego w warunkach niewoli. Nie było błędne przekonanie posłów, którzy po odzyskaniu niepodległości w pierwszym sejmie odrodzonej Rzeczypospolitej uchwalili wydanie sejmowe *Dzieł wszystkich Mickiewicza*, jako że do niepodległości przyczyniła się wielka poezja romantyczna, przede wszystkim twórczość Mickiewicza, i muzyka Chopina. Wielkie osiągnięcia kultury polskiej w XIX wieku zwróciły uwagę całego świata na to, że zasługuje na niepodległość naród wydający geniuszy poezji i muzyki. To prawda. Ale czynienie z romantyzmu osi całej literatury polskiej i eksponowanie wobec świata długo w ciągu XX wieku jedynie naszej poezji romantycznej wraz z przebrzmiałym już mesjanizmem czy mistycyzmem przy zapomnieniu zdobyczy literatury przedromantycznej zaciążyło fatalnie. Są w naszej wielkiej poezji romantycznej pierwiastki mające trwałe znaczenie na gruncie międzynarodowym, ale pewne wybujałości romantyzmu nie mogą przemówić do współczesnego nam Amerykanina, Anglika czy nawet Francuza patrzącego na pomnik Mickiewicza w Paryżu. Natomiast ruch neolatynistyczny, którego inspiratorem był Józef IJsewijn, profesor w Lowanium, nie tylko nie wyklucza ze skarbca ogólnoeuropejskiego naszych pisarzy łacińskich wieków dawnych, ale upomina się o ich naukowe poznanie. Długosz i Frycz Modrzewski, Kochanowski łaciński i Sarbiewski to przynajmniej cztery nazwiska, obok wielu innych, którymi interesują się neolatyniści zachodnioeuropejscy czy nawet amerykańscy, zaliczający mnie do swego grona, słuchający moich wystąpień na kongresach i kierujący do mnie kwerendy, gdy trzeba im z jakiegoś powodu pogłębić znajomość polsko-łacińskich pisarzy.

Każdy wyjazd zagraniczny traktowałem nie jako przyjemność jedynie, ale jako spełnienie pewnego zadania. Oczywiście, nie stroniłem od zwiedzania pięknych miast i cudów przyrody. Ale przede wszystkim: 1. naukę polską informowałem o kongresach, w których uczestniczyłem (stała moja rubryka w „Przeglądzie Humanistycznym” i książka będąca zbiorem sprawozdań: *Kongresy – Sympozja. Sesje naukowe*, 1999); 2. odwiedzałem „nałogowo” biblioteki w miastach zachodniej Europy, by zarejestrować, niekiedy opublikować *in extenso*, skarby rękopiśmienne stanowiące polonica (stała moja rubryka w „Rocznikach Bibliotecznych”); 3. podejmowałem prace komparatystyczne (tylko przykładowo: w Bibliothèque Nationale powstało studium o związkach *Odprawy posłów greckich* z piętnastowiecznym dramatem francuskim o zagładzie Troi); 4. tu i ówdzie poza kongresami wygłaszałem wykłady o literaturze polskiej: w Ołomuńcu, w Szegedzie, w Rzymie, w Paryżu, w Londynie...

Stypendia naukowe nieco dłuższe otrzymałem dwa razy tylko – z funduszu Lanckorońskich. Owocem trzymiesięcznego pobytu w Londynie był tom studiów *Anglo-Polonica* (1997), w którym najważniejszą część stanowi cykl prac większych i mniejszych z dziejów recepcji międzynarodowej Sarbiewskiego (drugi wyrosły na moim warsztacie, pierwszy opublikowałem w tomie *W świecie barokowym*, 1992; inspiratorem pracy nad tym tematem był prof. Wiktor Weintraub). Owocem łącznie prawie trzymiesięcznego pobytu w Rzymie (w dwu ratach) było opracowanie dwudziestu biogramów polonistów włoskich do mego *Słownika badaczy literatury polskiej* (poprzednio w czasie krótkich pobytów we Francji zredagowałem pięć biogramów polonistów francuskich, a w czasie pobytu w Anglii – cztery biogramy polonistów anglojęzycznych).

Wielokrotnie piętnowałem w słowie i w piśmie zanik znajomości łaciny u humanistów naszej doby. Potrzeby tego języka dla filologów, historyków, filozofów itp. kwestionować nie można, choć nieraz spotykam się z postawą „mnie łacina niepotrzebna”, oczywiście – z postawą błędną. W r. 1978 założyłem w UŁ Podyplomowe Studium Neolatynistyczne, przeznaczone dla adiunktów, asystentów, młodych doktorów, doktorantów ze wszystkich dziedzin humanistyki z całej Polski. Zajęcia odbywały się w pięciu „zjazdach” w ciągu semestru, trwających od piątkowego południa do niedzielnej przerwy obiadowej, łącznie obejmowały 240 g. rocznie, w tym 60 g. wyższego lektoratu łacińskiego, na który nie uczęszczali oczywiście filologowie klasyczni będący słuchaczami neolatinum. Obmyśliłmy tę imprezę we trzech z prof. Stefanem Zabłockim i z prof. Henrykiem Kowalewiczem. O planach naszych wiedział prof. Plezia i patronował im.

Niestety prof. Kowalewicz nie mógł już podjąć zajęć w neolatinum. Zastąpił go prof. Juliusz Domański, który stał się głównym filarem imprezy. Prof. Zabłocki dojeżdżał przez cały czas istnienia Studium. Naukę o rękopisie średnio-wiecznym świetnie prowadził prof. Jerzy Bartłomiej Korolec. Mieliśmy oparcie

w miejscowym miedwieście, prof. Ryszardzie Rosinie, który doskonale uczył paleografii. Prowadzili także zajęcia dwaj dobrze zapowiadający się doktorzy, oczywiście już od lat habilitowani: Roman Zawadzki i Józef Budzyński. Wymieniam tylko wykładowców przyjeżdżających przez szereg lat, chociaż należy się wdzięczność i tym, którzy dojeżdżali krócej, np. w ciągu jednego semestru. Na inaugurację, niestety tylko na jeden semestr, przyjechał prof. Plezia. Wykładał historię języka łacińskiego w wiekach średnich. W ciągu piętnastu godzin wykładu prof. Plezi czułem się po raz ostatni studentem, przesłuchałem wykład, co pomogło mi w napisaniu paru stroniec poświęconych wymienionemu tematowi w tomie *Średniowiecze*, opracowanym dla Biblioteki „Polonistyki” w 2. wydaniu (1989). Neolatynum trwało do czasu mego zawału serca, drugiego już z kolei (1987). Sukcesem imprezy była dysertacja doktorska mej uczennicy uniwersyteckiej, później asystentki (obecnie już habilitowanej) o dwu siedemnastowiecznych przekładach *Metamorfoz*.

Od r. 1992 jestem emerytem. Wspomniane *Średniowiecze* przywodzi na myśl jeden jeszcze nurt mej działalności: popularyzację. Poza kilkoma tomikami w „Bibliotece Analiz Literackich” trzeba tu przypomnieć serię wydawniczą „Literatura dla Wszystkich”, która redaguję w ŁTN (dotąd 23 tomiki). Jest to jednak literatura „dla wszystkich”, która rozchodzi się nieraz... aż w stu egzemplarzach. Tak bardzo leży obecnie dystrybucja. Obrabiałem jako założenie przypominać teksty potrzebne w dydaktyce szkolnej i uniwersyteckiej, której brak na rynku. Ale powszechnego zrozumienia nie ma.

Skromny dorobek z zakresu neolatynistyki dał mi imię wśród badaczy tego nurtu. Spotykałem się niekiedy w mej drodze naukowej z niesprawiedliwością, o co potrafiłem, choć szczegółów omawiać nie chcę. Ale przyszły już w emerytalnym wieku sukcesy, o których nie myślałem nigdy. Wskrzeszona Polska Akademia Umiejętności przyjęła mnie w 1992 r. w poczet członków-korespondentów, w r. 1997 w poczet członków czynnych. Udało mi się w PAU zainspirować wznowienie czcigodnej serii *Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae Latinorum usque ad Joannem Cochaniovium*, której redakcję powierzono prof. Romualdowi Turasiewiczowi. W tej serii opracowałem Knobelsdorfa (1995) i wspólnie z prof. Tarasiewiczem prace łacińskie Kromera (2003). Łódzkie Towarzystwo Naukowe wyróżniło mnie w 1998 r. godnością członka honorowego. W Londynie odebrałem w 1999 r. nagrodę im. Tadeusza Murdzeńskiego za prace o lwowskich i wileńskich historykach literatury. Radość moją mąci tylko to, iż Matka moja, zmarła w 1990 r., w dziewięćdziesiątym trzecim roku życia, nie doczekała wymienionych sukcesów. Bardzo długo interesowała się wszystkim na mej drodze naukowej, moimi pracami, powodzeniami i niepowodzeniami. Pocichę daje mi pożycie z Żoną Teresą, od 28 lipca 1951 r., i rozwój intelektualny Córkę, Marię, historyczki-mediewistki, będącej już od szeregu lat

po doktoracie. Zbliżam się już ku drugiemu brzegowi. Dzięki Bogu jestem jeszcze w pełni władz umysłowych i pragnę do ostatka przekazywać Narodowi w mych pracach to, co mam jeszcze do powiedzenia.

PRZYPISY

- ¹ Biogram Kukulskiego opracowałem trzykrotnie: [w:] *Polskim słowniku biograficznym*, t. 16 z. 1(68). Wrocław 1971 s. 121–122; ze względu na jego wkroczenie w literaturę polską – w *Słowniku badaczy literatury polskiej*, t. 1. Łódź 1994 s. 163–164. Pisałem też o nim w rozprawce *Sylwetki kilku lubelskich uczonych*. „Rocznik Lubelski” 1991/1992 t. 33/34, druk. 1994, s. 27–32.
- ² Ze względu na drobne prace dotyczące literatury polskiej poświęciłem mu biogram w wymienionym *Słowniku badaczy literatury...*, t. 1 s. 152–154.
- ³ Po drugiej wojnie światowej był Zabłocki lektorem języka niemieckiego w KUL. Poświęciłem mu nekrolog w „Zeszytach Naukowych KUL” 1970 R. 13 nr 1(49) s. 100–101.
- ⁴ Konterfekt Kamykowskiego przedstawiłem w wymienionej rozprawce *Sylwetki kilku lubelskich uczonych*, s. 32–40. W *Słowniku badaczy literatury polskiej* opracowałem jego biogram (t. 4. Łódź 2001 s. 152–158).
- ⁵ Poświęciłem Tołwińskiemu biogram w *Słowniku badaczy literatury...*, t. 1 s. 294–296.
- ⁶ Charakterystykę Lasockiego – pisarza przedstawiłem w artykule *Wiesław Antoni Lasocki – pisarz nieznany*. „Sprawozdania [...] ŁTN” 1995 t. 49, druk. 1996, s. 189–203; przedr. – „Studia Mazowieckie” 1994 R. 3 nr 1/2, druk. 1997, s. 88–101.
- ⁷ O tym, co oglądałem w teatrze wileńskim, pisałem w artykule *W Wylkowyszkach, w Wilnie i w Sandbostel*. „Pamiętnik Teatralny” 1964 R. 13 nr 4, druk. 1965, s. 425–432; część dotyczącą Wilna powtórzyłem w artykule *Wspomnienia i notatki o teatrze wileńskim, 1940–1941*. „Wileńskie Rozmaitości” 1997 nr 1(39) s. 3–4.
- ⁸ W: Feliks Araszkievicz [red.]: *Juliusz Kleiner. Księga zbiorowa o życiu i działalności*. Lublin 1961 s. 201–203.
- ⁹ O krótkim „spotkaniu” z Henrykiem Elzenbergiem pisałem w „Zeszytach Naukowych KUL” 1968 R. 11 nr 1(41) s. 106–109. Konterfekt jego włączyłem do tomu *Sylwetki wileńskich historyków literatury*. Bydgoszcz 1997 s. 205–213.
- ¹⁰ Poświęciłem profesorskiej działalności Jana Parandowskiego krótki artykuł w „Ruchu Literackim” 1979 R. 20 z. 4(115) s. 273–276.
- ¹¹ O Tadeuszu Milewskim pisałem bezpośrednio po jego śmierci w „Więzi” 1966 R. 9 nr 9(101) s. 133–136, znacznie później w „Rocznikach Humanistycznych” 1988 t. 36 z. 3, druk. 1992, s. 45–51. O Marii Dłuskiej – w *Słowniku badaczy literatury polskiej* t. 2, Łódź 1998 s. 94–101; o Stefanie Kawynie wielokrotnie: „Pamiętnik Literacki” 1969 R. 60 z. 2 s. 417–424; „Ruch Literacki” 1969 R. 10 z. 6(59) s. 383–384; „Rocznik Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza” 1969 t. 3 s. 189–192; „Zagadnienia Rodzajów Literackich” 1969 t. 12 z. 1(22) s. 132–138; „Zeszyty Naukowe KUL” 1969 R. 12 nr 2(46) s. 96–98; *Słownik badaczy literatury polskiej*. T. 4. Łódź 2002 s. 164–172.
- ¹² Gdy w wiele lat po stosunkowo krótkotrwałej działalności na katedrze w KUL zakończył życie, poświęciłem mu konterfekt w „Meandrze” (1997 R. 52 nr 4 s. 303–328).
- ¹³ Poświęciłem jej biogram w *Słowniku badaczy literatury polskiej* – (t. 1, Łódź 1994 s. 274–276).
- ¹⁴ Dwukrotnie pisałem o moich profesorach poznanych w różnych uniwersytetach: *Sylwetki kilku dydaktyków uniwersyteckich*. „Życie Szkoły Wyższej” 1971 R. 19 nr 10 s. 105–118; *Professorowie, których w mej drodze naukowej spotkałem*. [w:] *Moja droga do nauki*. Łódź 1996

- s. 297–308. O Juliuszu Kleinerze pisałem wielokrotnie, począwszy od książki o nim z 1961 r., w której opracowaniu byłem prawą ręką prof. Araszkiewicza.
- ¹⁵ Piękny artykuł na temat tego księgozbioru ogłosił Andrzej Paluchowski: *Borovianum*. „Tygodnik Powszechny” 1968 R. 22 nr 43 s. 6, 5.
- ¹⁶ „Roczniki Humanistyczne” 1964 t. 12 z. 1 s. 99–131.
- ¹⁷ Główny zrab pracy magisterskiej Marii Nogowej ukazał się pt. *Z dziejów amatorskiego teatru Fredreum w Przemyślu* ([w:] Stanisław Frycie, Stefan Reczek, red.: *Z tradycji kulturalnych Rzeszowa i Rzeszowszczyzny*. Rzeszów 1966 s. 225–262). O swej drodze do Fredreum pisała autorka we wspomnieniu pt. *Spowiedź dziecięcia Fredreum* ([w:] Stefania Kratochwilowa, red.: *Z dziejów kultury i literatury Ziemi Przemyskiej*. T. 2. Przemyśl 1973, druk. 1974, s. 393–404). Biogram przedwcześnie zmarłej Marii Nogowej opublikowałem w *Słowniku badaczy literatury* [...] t. 1 s. 215–216. Kalendarz wystawień Fredreum ogłosiłem po jej śmierci w „Roczniku Przemyskiem” (1999 t. 35 z. 3 s. 45–98).
- ¹⁸ „Analecta. Studia i Materiały z Dziejów Nauki” 1992 nr 2 s. 7–79.s

